Dziś 8 stron

J. RAYSKI: MATERIALIZM A WSPÓŁCZESNA FIZYKA; S. STOMMA: PROBLEM OŚWIĘCIMIA;

Cena 16 zł

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

Rok III

Kraków, niedziela 6 lipca 1947

Nr 27 (120)

PAWEŁ JASIENICA

DE PROFUNDIS

„Panie, kto zgrzeszył, on, czy rodzice jego?" (Joan. IX, 2)

Za bramą szpitalną zaczyna się prawo surowego ekshibicjonizmu. Mają mi tu być pokazane tajemne, najbardziej wstydliwe sprawy ludzkiego ciała. Nie będę ukrywał — bałem się. Zarówno tego, co mi tu zademonstrują, jak i bezlitosnej lekarskiej rzeczowości, za którą trzeba będzie nadążać. Trzeba koniecznie. Istnieje bowiem absolutny przymus moralny opowiedzenia o tym, na co dzień w dzień patrzą oczy lekarzy i z czym walczą ich mózgi i ręce. Tedy patrzymy.

OD KOŁYSKI — POZA GRÓB

Do lekarskiego gabinetu wchodzi młoda, bardzo nawet młoda kobieta z dzieckiem na ręku. Kładzie je na stole i rozwija. Dziesięciomiesięczny chłopaczek buźkę ma miłą i ładny, już zindywidualizowany profil. Niebieskimi oczkami uważnie ogląda otoczenie. Niemowlęcym obyczajem podkurczył kolanka ku brodzie. A teraz lekarz każe matce ująć owe kolanka i rozchylić. W fałdach skóry krocza kilka czerwonych, wyrazistych guzów i krost.

Ten chłopaczek zaraził się od matki. Chory jest na kiłę. I co tu owijać w bawełnę, używać słów nie wszystkim może zrozumiałych. Wiedzcie więc, że chodzi o syfilis. Właśnie. — Po to mnie tu do szpitala wpuścili, a teraz fatygę sobie zadają i czas [illegible] bym mógł oszczędzić widokom

Następna pacjentka ma kilkanaście miesięcy. Leczenie zaczęto później, choroba zdążyła już poczynić znacznie większe postępy.

Tych dwoje to są reprezentanci legionu dzieci polskich zakażonych na progu życia. Tłumaczą mi wyraźnie, że tutaj chodzi o zarażenie przez chorych rodziców — nie zaś o dziedzictwo. Dziecko przyszło na świat zdrowe i zaraz — po kilku miesiącach... Jedno przynajmniej dobrze, iż choroba uchwycona została przez lekarzy w pierwszych tygodniach. Bo bywają i sprawy całych lat.

Oto kobieta lat trzydziestu sześciu. Kazano jej tu przyjść, by z żyły przedramienia pobrać krew do kolejnego badania. Zabieg to krótki, ale z tą osobą niczego już się prędko załatwić nie da. Chora porusza się chwiejnym, powolnym, rozwlekłym krokiem. Źrenice jej słabo reagują na zmiany w intensywności światła. Poczucie równowagi wyraźnie zakłócone. Z twarzy, której symetria jest zepsuta, ani na chwilę nie znika głupkowaty uśmiech. Mowa nieskładna, mętna. Nie mogę niczego wyrozumieć z tego bełkotu, ale lekarz dowiaduje się i ustala, że zakażenie nastąpiło przed laty przeszło dziesięciu.

Siostra pobrała krew. Teraz chora swym chwiejnym krokiem zbliża się do krzesła, na którym uprzednio złożyła przyniesione przez się przedmioty — torebkę, jakieś drobiazgi. Proces zbierania tego wszystkiego do kupy trwa długo. Niemrawymi ruchami podnosi te rzeczy, przekłada, znowu odkłada. To po prostu widać — pomiędzy zwyczajną mózgową decyzją wzięcia do rąk kilku drobnych przedmiotów a wykonaniem decyzji przez te właśnie ręce — zachodzą jakieś przemożne przeszkody. W końcu interweniuje siostra. Wkłada to wszystko chorej do rąk.

Mówią mi: gdyby nie kuracja, pomiędzy psychiką tej kobiety a otaczającym światem już w rychle zapadłaby nieprzebita zasłona.

Bywa tak, bywa i inaczej. Tutaj znowu mamy inny wypadek kiły. Zakażenie nastąpiło przed laty co najmniej dwudziestu, a chora osoba wygląda i zachowuje się normalnie. Objawów zewnętrznych poza wyrzutem na podniebieniu nie widać. Tylko na żebrach wielka, zbielała już ze starości blizna po wrzodzie.

Więc można i tak? Czasami uchodzi prawie bezkarnie? Zaraz — pomału.

Do gabinetu wprowadzają dziesięcioletnią dziewczynkę. Mała ma t. zw. „baranie nos". To znaczy rusztowanie nosa jest w połowie zniszczone, dolna jego część zaklęśnięta, głęboka bruzda przekreśla okolice, gdzie dawniej było lewe nozdrze.

— No, jak to było? — pyta lekarz.

— A to — proszę pana doktora — koleżanka w szkole uderzyła mnie w nos. Zaczęło się ropić. Pani doktorka przemywała i przemywała i potem wzięli krew do badania.

— Widzi pan — zwraca się lekarz do mnie — dzieci z pierwszego małżeństwa jej matki są zdrowe...

— A nie — przerywa rezolutnie mała — tamte dzieci umarły. To moja siostra jest zdrowa. Rodzona siostra. Ona jest starsza o dziesięć lat.

Wszystko jedno. Tu chodzi o szczegóły dotyczące matki. Tak więc jej starsza, dwudziestoletnia córka jest zdrowa. Wygląd młodszej, dziesięcioletniej, dopiero co opisałem. Wniosek prosty: matka zaraziła się kilkanaście lat temu — rachunek zapłaciło dziecko. Ono bowiem o d z i e d z i c z y ł o chorobę. Zarazki syfilisu opanowały organizm i dopiero uraz zewnętrzny — uderzenie w nos — wyzwolił niejako ich widoczne dla oka działanie.

Choroba tej małej da się opanować. Chirurg potrafi przywrócić ludzki wygląd jej nosowi. Ale przyszłe potomstwo tej dziewczynki nie będzie pełnowartościowe ani pod fizycznym, ani pod psychicznym względem.

Kości winowajcy dawno zbutwieją w ziemi [illegible] przezerać dalej będzie pokolenia, rodząc nieszczęścia i zbrodnie.

DZIEJE I ROZMIARY

Dawniej, przed wojną, żeby zademonstrować studentom wypadek świeżej kiły, lekarze musieli czekać na okazję. Dzisiaj: w dn. 3 marca b. r. Klinika Dermatologiczna w Krakowie zarejestrowała osiem wypadków. W dniu 9 marca do ambulatorium Oddziału Va Szpitala św. Łazarza zgłosiło się dziewięciu nowych chorych. W tym samym dniu do Miejskiej Przychodni skórno-wenerycznej — pięciu! Ubezpieczalnia Społeczna rejestruje dziennie od jednego do trzech przypadków świeżej kiły.

W Przychodni na Skawińskiej byłem w czerwcu, we czwartek — dzień szczególnie spokojny — i tylko przez dwie godziny. I przy mnie zgłosiło się dwu mężczyzn ze świeżą chorobą. Obydwaj zarazili się na Zachodzie. Lekarze obliczają, że c o s z ó s t y mieszkaniec Wrocławia jest chory. W Gdańsku na 130 tysięcy mieszkańców — chorych c z t e r d z i e ś c i p i ę ć t y s i ę c y. To trzeba — by móc walczyć i strzec się — stwierdzić, wiedzieć i zapamiętać: wielki rezerwuar chorób wenerycznych znajduje się na zachodzie kraju. Stamtąd strumienie zarazy rozpływają się po całej Polsce.

Dzieje tej epidemii łączą się ściśle z historią wojny. Pierwszą falę chorób wenerycznych przynieśli w 1939 roku powracający do domów uchodźcy. Lekarzom udało się jednak opanować to i zwalczyć. Podczas niemieckiej okupacji powstały nawet pewne specjalne, a sprzyjające leczeniu okoliczności. Oto Niemcy nie brali na roboty osób chorych wenerycznie. Stąd zabiegi o świadectwa lekarskie, poddawanie się badaniom i okazja do ujawnienia bardzo wielu wypadków kiły utajonej. Lekarze Polacy — nie Niemcy oczywiście — potrafili to wyzyskać dla tym intensywniejszej walki z zarazą.

Przyszedł rok 1945 — front znowu przewalił się przez nasze ziemie — nastał okres wielkich wędrówek nieustabilizowanych, pioniersko-szabrowniczych stosunków na zachodzie. Pierwszym skutkiem w dziedzinie zdrowotnej była epidemia rzerzączki, którą — dzięki penicylinie i wysiłkom Służby Zdrowia — udało się zwalczyć. Teraz grasuje syfilis, a z nim nie taka łatwa sprawa.

Ministerstwo Zdrowia rozumie niebezpieczeństwo i wiele czyni dla walki z nim. Powstają coraz to nowe ośrodki lecznicze i profilaktyczne. Dokształca się lekarzy i młodzież akademicką. Prowadzi akcję uświadamiającą. Wszystkiego mało. Groza zniszczenia siły biologicznej narodu jest realna i bliska. Nie zdajemy sobie sprawy, że przy wtórze makabrycznego *tria* — syfilisu, gruźlicy i wódki — pomału a gruntownie gnijemy.

Czego potrzeba? Najpierw środków materialnych. Klinika Dermatologiczna i Szpital św. Łazarza w Krakowie rozporządzają razem 68 łóżkami dla osób chorych na choroby skórne (w Polsce jest ok. 30.000 chorych na gruźlicę skóry) i weneryczne. A tymczasem obsłużyć trzeba: miasto Kraków, województwo krakowskie, rzeszowskie, kieleckie i rozmaite przybytki z zachodu.

A warto przy okazji zapamiętać sobie i wbić w głowy dwie prawdy: 1) że syfilis jest chorobą dziedziczną, którą rodzice przekazują dzieciom; 2) że zakażenie niekoniecznie musi nastąpić drogą stosunków płciowych. Wystarczy stykanie się z chorym, używanie tych samych naczyń, ręcznika, brzytwy, pościeli. Czasem i rękę podać wystarczy. Sześć procent ogólnej liczby zakażeń następuje w ten właśnie sposób. Lekarze opowiadali mi o pewnym robotniku z huty szklanej, który zaraził sześciu zdrowych kolegów. W danym wypadku chodziło o używanie tej samej rurki do wydmuchiwania butelek.

Wniosek stąd prosty: chory powinien być izolowany. Zwłaszcza, jeżeli chodzi o chorych z takich zawodów jak fryzjerzy, [illegible] można izolować, jeżeli brakuje miejsc w szpitalach? Powinniśmy domagać się drakońskich oszczędności, zniesienia wszelkich niepotrzebnych i niekoniecznych wydatków, subwencyj, dotacyj, całego reprezentacyjnego blichtru. Muszą być pieniądze na szpitale!

I jeszcze jedno musi być. Przymus leczenia. Nasze ustawy wprowadzają go w sposób niedostateczny. A tymczasem każdy chory powinien być zobowiązany do leczenia się i wskazania osoby, od której się zaraził. Oczywiście, samo tylko stosowanie przymusu nie wystarczy. Niemniej jednak lekarze-specjaliści domagają się wprowadzenia tej normy prawnej i obiecują sobie po niej znaczną pomoc. Podobnie należy wydać ustawy i rozporządzenia, które będą przewidywać *sui generis* dyktaturę fachowca. Chodzi o to, że 60 procent chorych na kiłę przerywa leczenie skoro tylko znikną objawy. A potem znowu — ale już w stanie znacznie groźniejszym — wraca do lekarza. Tymczasem zaś kuracja musi trwać dotąd, dopóki specjalista nie uzna jej za skończoną.

Niemcy stosowali przymus leczenia. U nas zniesiono go, obawiając się ograniczenia swobód jednostki. Argumentacja zalatuje humorystyką. Niemcy wychodzili z niekulturalnych założeń, mianowicie podstawą ich akcji była teoria rasowa. To naturalnie należy odrzucić. Ale nie sam przymus, stosowany w świecie szeroko i mający na celu ochronę zdrowia żyjących i jeszcze nie urodzonych pokoleń. Czemu zresztą nie wolno ukrywać wypadków tyfusu a tylko z syfilisem inaczej?

Istnieje jeszcze jedna kategoria przymusu, której sam rząd wdrożyć już nie może. Jest to przymus moralny. Warunkiem jego wprowadzenia jest uświadomienie społeczeństwa o sytuacji. O to uświadomienie, o propagandę, wielkim głosem wołają lekarze. Sami oni organizują kursy, odczyty, występują przed mikrofonami, informują dziennikarzy i literatów, piszą. I tego jednak mało.

Prasa i radio nie wszędzie u nas docierają. Cały natomiast kraj objęty jest organizacją kościelną. W istniejących warunkach olbrzymią rolę do spełnienia ma duchowieństwo. Sytuacja jest taka, że naprawdę zastosować trzeba cały autorytet stanu kapłańskiego, a zwłaszcza konfesjonału. Nie ma chyba w Polsce takiej rodziny, z której by nikt w kościele nie bywał, z księdzem nie rozmawiał. I jeśliby się nawet nie udało akcją przymusu moralnego objąć tych, co rozwlekają zarazę — trzeba uświadamiać rodziny. Zwłaszcza, że cały problem nie da się absolutnie ująć i wyczerpać w kategoriach fachowych, lekarskich, ani — tym mniej — administracyjnych. Uleczenie i uzdrowienie narodu nie nastąpi — bez terapii moralnej.

HAMULCE

Skąd się u nas całe to zagadnienie wzięło? Czemu problem wystąpił z tak niesłychaną siłą? Ogniska zarazy musiały gdzieś u nas czy za granicą i przedtem istnieć — podczas wojny ją rozwleczono. Nie stało się to na pewno na skutek zbytniej czystości obyczajów, czy nadmiaru ascezy. Pierwszorzędną rolę grało tu raczej rozpasanie upojonego krwią żołnierza walczących armij oraz uchodźcze i szabrownicze *va banque*. A jak dalej idzie — tego się można po szpitalach dowiedzieć.

Przyszedł na Skawińską młody, dwudziestodwuletni mężczyzna. Normalny przedstawiciel robotniczej młodzieży. Niedawno chorował na rzerzączkę i jest pewien, że mu się choroba odnowiła. Jednakże z zachowania się lekarza i jego kierowanych do mnie słów zaczyna wyłaniać się odmienna rzeczywistość.

— Panie doktorze — pyta — czy to jest to samo, czy coś gorszego?

— Tak, coś gorszego. Pan jest ciężko chory. Ma pan kiłę. Syfilis. Rozumie pan?

Odpowiedzi brak, tylko nieruchome spojrzenie przerażonych oczu.

Pytania lekarza zmierzają do wykrycia źródła i historii choroby. Zarażenie nastąpiło w Stargardzie koło Szczecina. W grę wchodziła jakaś przygodna znajoma. Kilka tygodni temu, gdy znamiona choroby nie były jeszcze tak widoczne, chłopak był na majówce z kolegami w Lasku Wolskim. — Tamże poznał jakąś dziewczynę i tegoż dnia, na tejże majówce nieświadomie ją zaraził.

Upłynął miesiąc. Jeżeli przez ten czas dziewczyna owa równie łatwo „zawierała znajomości" — dziedziców stargardzkiego importu musiało się już sporo namnożyć. Tak to idzie.

Istnienie epidemii jest faktem. Drugi fakt to nieustanne wędrówki tysięcznych rzesz ludzkich. A trzeci — to nieprawdopodobna, niebywała przedtem, łatwość „zawierania znajomości".

W zimie podróżowałem kiedyś autobusem. Wieczór. Dojeżdżamy do miasteczka. Sąsiad niepokoi się czy znajdzie tam nocleg. Jakiś żołnierz z kąta zaśmiał się na całe gardło.

„Co się pan martwi? Kup pan aby butelkę wódki, to znajdzie pan".

A no właśnie, znajdzie. A potem może powędruje tutaj, na Skawińską. I powtórzy normalny refren większości tutejszych pacjentów: wódka. Bo nie zdarza się prawie, by chory nie opowiadał, iż zaraził się w stanie nietrzeźwym, przeważnie na lub po zabawie. Jest to nowy, dotychczas zdaje się nie omówiony aspekt anty-bimbrowej i anty-perłowej kampanii.

Z powyższych faktów wynika jedna prawda: mogą sobie lekarze urobić ręce po łokcie, może państwo wydawać ustawy i dawać pieniądze — ale najskuteczniejszą zaporą przeciw szerzeniu się zarazy będzie powrót do większej niż dziś surowości obyczajów. Zwłaszcza u kobiet. „Mężczyźni układają prawa, ale kobiety tworzą obyczaje" — pisze tygodnik „Dziś i Jutro". — I ma rację.

Oto jeszcze jeden szpitalny obrazek. Dziewczyna lat siedemnastu. Uczennica szkoły średniej w jednym z prowincjonalnych miast. Pochodzenie inteligenckie. Zarażona syfilisem przez „przyjaciela", człowieka z wyższym podobno wykształceniem, zamieszkałego na zachodzie.

— Proszę — powiada lekarz — niech nam pani opowie o atmosferze panującej wśród młodzieży w szkole.

Dziewczyna chwilę patrzy w ziemię. Potem zaczyna mówić. Wiem, że nie kłamie. Tutaj, w poważnym, a życzliwym i ludzkim otoczeniu szpitalnym mówi się prawdę.

— Szkoła nas ani wychowuje, ani uczy,

Od najniższych klas, od szkoły powszechnej młodzież się nieustannie bawi. Dochodzi wcześnie do poufałości z kolegami.

— Jak wcześnie, pani zdaniem, koleżanki zaczynają życie seksualne?

— Bardzo wcześnie. Ja jestem w klasie najmłodsza. Myślę, że większość z moich koleżanek ma „przyjaciół". Jest żądza wyżycia się.

— A czy pani nie zastanawiała się nad tym, że ludzie, którzy wybili się i zajmują w społeczeństwie wyższe stanowiska, osiągnęli to między innymi dlatego, że się nie wyżywali, tylko pracowali długo i ciężko?

— Nie, nam tego nie mówią.

Tak to jest. Powiedzie może, że to normalne — jak przystało na katolicki tygodnik — kaznodziejstwo i prawienie morałów. No, to proszę posłuchać opinii lekarzy-fachowców.

Dr. Jerzy Lebioda, — mój przewodnik i informator, któremu zawdzięczam możność zdobycia tych informacyj — powiedział przed mikrofonem rozgłośni krakowskiej: „Trzeba przede wszystkim chcieć uniknąć zakażenia i **trzeba mieć hart, aby przeciwstawić się pokusom i chwilowym przyjemnościom, za które później płaci się wysoką cenę**". Dr. Edward Borkowski, autor książki „Choroby weneryczne szerzą się" (Lekarski Instytut Naukowo-Wydawniczy, Warszawa 1946) napisał: „Chorobę weneryczną nabywa się przez nieuregulowany, rozwięzły tryb życia i utrzymywanie stosunków z osobami lekkiego prowadzenia. **Wstrzemięźliwość płciowa, jak również wczesne małżeństwo osób zdrowych i sobie wiernych wyklucza chorobę weneryczną**". Jasne?

Więc trzeba sprawę stawiać jasno i brutalnie. Nie zawracać sobie głowy rzekomą bezkarnością wobec wynalazku penicyliny. Owszem, środek ten w dwadzieścia cztery godziny likwiduje rzerzączkę, a w przeciągu siedmiu dni usuwa zewnętrzne objawy świeżej kiły. Ale nie wiadomo jeszcze nic, czy leczy ją. To się dopiero okaże po latach, może wtedy, kiedy zaczną przychodzić na świat dzieci osób dziś penicyliną leczonych. Amerykanie n. p. zapatrują się sceptycznie na wyniki penicylinowych kuracyj.

I nie ma co piaskiem w oczy sypać, że problem chorób wenerycznych to nie jest sprawa ludzkiego sumienia. Posłuchajcie zwierzeń chorych, opowiadań o wpływie na to wszystko takich zjawisk jak pijaństwo, oszustwo i gwałt. Chcecie znać historię choroby tamtego chłopaczka, o którym na samym początku pisałem? Matkę jego, kobietę dziewiętnastoletnią, zaraził mąż, który trzy miesiące siedział na Zachodzie. Karmiła dziecko. O chorobie męża dowiedziała się wtedy, kiedy on już poszedł do szpitala. Dziecko naturalnie też zachorowało. A jest to historia raczej typowa. Problem sumienia i uczciwości.

A bywa i zbrodnia. Oto opowiadanie dziewczynki, która nie ma jeszcze trzynastu lat: „Pracowałam u jednego tam. To taki spekulant, jeździ na Zachód. Ja wieczorem poszłam po coś do stodoły. I on przyszedł po siecznę, czy po coś tam. I ja zaczęłam strasznie wrzeszczeć i przyleciała jego matka — ale już było za późno".

W tę sprawę wkroczył prokurator. Ale prokuratorzy działają z reguły po niewczasie. Lekarze — wbrew własnej woli — przeważnie też. Trzeba działać zawczasu. Trzeba naciskać hamulce moralne. Szybko i zdecydowanie. Bo zginiemy.

PAWEŁ JASIENICA

JERZY RAYSKI

MATERIALIZM A WSPÓŁCZESNA FIZYKA

Ażeby odpowiedzieć na pytanie, jak ustosunkowuje się współczesna fizyka do tzw. doktryny materialistycznej, należałoby przede wszystkim sprecyzować podstawowe dla tej doktryny pojęcie materii. Wyznawcy materializmu nie uważają za potrzebne definiować tego wyrazu, sądząc, że znaczenie jego jest oczywiste i nie ulega wątpliwości. Dla fizyka jednak, którego wiedza stanowi zespół pojęć ściśle określonych, tego rodzaju stanowisko jest nie do przyjęcia. Cóż bowiem znaczą zdania takie, jak „nie istnieje nic oprócz materii" albo „materia jest jedyną rzeczywistością"? Ponieważ tylko to istnieje, co istnieje rzeczywiście, więc — w tych zdaniach — pojęcie materii utożsamia się z pojęciem rzeczywistości i zdania te nie posiadają innego znaczenia poza trywialnym: „istnieje tylko rzeczywistość" i „jedyną rzeczywistością jest rzeczywistość". Materialiści dopatrują się jednak głębszej treści w tego rodzaju zdaniach, a dzieje się tak dlatego, że pod wyrazem „materia" przemycają dodatkowo: 1) treść potoczną tego wyrazu, zaczerpniętą z codziennego i powierzchownego doświadczenia, w myśl którego materia jest rzeczą bezpośrednio dostępną naszym zmysłom, jest widzialna, uchwytna i masywna, oraz 2) treść zaczerpniętą z dawniejszej fizyki, która uczyła, że materia podlega pewnym nieubłaganym prawom, np. prawu zachowania (materii), które orzeka, że materia jest niezniszczalna i przy wszelkich przemianach jej ilość (masa) się nie zmienia, lub podlega prawom ruchu, w myśl których z dowolną dokładnością możemy obliczać i przewidywać zachowanie się materii w przyszłości, jeśli wiemy, w jakim stanie znajdowała się ona w pewnej chwili początkowej. Determinizm praw fizyki dawniejszej sprawiał, że z pojęciem materii kojarzyły się cechy bezduszności, a świat i życie wydawały się czymś absolutnie i nieubłaganie zmechanizowanym. Dlatego też zdania takie, jak „nie istnieje nic oprócz materii" nabierają w ustach materialistów sensu takiego, że tylko to posiada znaczenie, co jest dostrzegalne i uchwytne (w grubym, codziennym tego słowa znaczeniu) oraz, że cały świat jest zmechanizowany i nie pozostaje w nim miejsca na żaden element natury poza-mechanicznej.

W swoim beznamiętnym, naukowym dążeniu do poznania świata dostępnego ludzkiemu doświadczeniu fizyk posługuje się także pojęciem materii. Mógłby on oczywiście wyrazem „materia" nazwać wszystko, co doświadczeniu jest dostępne, nie byłoby to jednak ani celowe, ani rozsądne, bo tak szeroki ogólnik nie posiada właściwie żadnego znaczenia i jest pustym frazesem, a co gorsza — jest sprzeczny z potocznym znaczeniem tego słowa, które wprowadzone było przecież po to, by odróżniać pewne rzeczy od siebie, a nie po to, by oznaczać „wszystko". Używanie więc słowa „materia" na oznaczenie bardzo nieokreślonej „wszelkiej rzeczywistości" mogłoby tylko prowadzić do nieporozumień. Dlatego też fizyk nadaje temu wyrazowi znaczenie ciaśniejsze, lecz blisko związane ze znaczeniem potocznym. Nazywa on ciałami materialnymi wszelkie ciała, obdarzone masą. Ponieważ jednak w teorii względności okazało się, że masa nie jest wielkością niezmienną, lecz zwiększa się, gdy ciało się porusza względem dokonywającego pomiarów obserwatora, więc fizyk bierze pod uwagę najmniejszą masę, jaką dane ciało może posiadać, czyli taką, jaką ma wtedy, gdy znajduje się w spoczynku względem obserwatora. A więc tzw. masa spoczynkowa (tj. masa nieruchomego ciała) może być uważana za miarę ilości materii i dopiero przy takiej umowie pojęcie materii nabiera ścisłego i określonego sensu.

Jeżeli zgodzimy się na to naukowe określenie materii, to od razu możemy dać odpowiedź na pytanie, czy wszelka rzeczywistość dostępna doświadczeniu jest materialna. Otóż nie, gdyż np. światło nie posiada żadnej masy spoczynkowej i wobec tego jest czymś odmiennym od materii. Zgadza się to bardzo dobrze z potocznym znaczeniem słowa „materia", bo przecież światło nie jest „namacalne" ani nie jest „uchwytne". Robione przed wiekami próby schwytania światła do kotła miedzianego przez szybkie zamknięcie pokrywy spełzły, jak wiadomo, na niczym. Światła nie można unieruchomić, a da się ono pochwycić tylko w ten sposób, że wywoła pewne zmiany w pochłaniającej go materii, ale w chwili pochłonięcia znika i przestaje być światłem. Istnieje cała ogromna dziedzina promieniowań elektromagnetycznych, wśród nich zaś fale radiowe, promieniowanie świetlne, fale poza-czerwone i ponad-fiołkowe, promienie Röntgena, promienie gamma ciał radioaktywnych, a częściowo także tzw. promienie kosmiczne, które nie mieszczą się w pojęciu materii i które zmuszają fizyka do zajęcia stanowiska, że z pewnością nie wszystko na tym świecie jest materią.

Jeśli chodzi o ciała materialne, to — jak się okazało — są one zbiorowiskami atomów, te zaś składają się ze znacznie od nich mniejszych cząstek elementarnych, takich jak elektrony, protony i neutrony. Te cząstki elementarne posiadają pewną masę spoczynkową, są więc uważane przez fizyków za cząstki materialne.

Bliższe badanie tych niewyobrażalnie małych fragmentów materii, jakie (posługując się subtelnymi metodami eksperymentu i matematyki) zapoczątkowała nowoczesna fizyka na przełomie XIX-go i XX-go wieku, doprowadziły jednak do nieoczekiwanych wyników. Okazało się, że nasze wyobrażenia o materii, wyobrażenia, jakie posiadaliśmy dzięki naocznej obserwacji ciał dużych (widzialnych gołym okiem) bardzo źle stosują się do tych najmniejszych składników materii. Wyjaśnijmy rzecz na przykładzie: na podstawie codziennych, zmysłowych doświadczeń przyzwyczailiśmy się uważać, że ciała materialne posiadają w każdej chwili określone położenia w przestrzeni i określone prędkości. Cóż — wydawałoby się — prostszego, niż przenieść te wyobrażenia na poszczególne elektrony i uważać je np. za bardzo małe kulki, poruszające się w określony sposób z miejsca na miejsce! Tymczasem okazało się, że dla tych najlżejszych cząstek to jest niedopuszczalne. Nie ma sensu mówić, że elektron znajduje się w danej chwili w określonym miejscu, a równocześnie posiada określoną prędkość ruchu. W myśl nowoczesnej fizyki kwantowej, gdy określimy prędkość cząstki, to jej położenie stanie się nieokreślone, i na odwrót, jeśli określimy położenie, to prędkość stanie się nieokreślona.

Ta własność najmniejszych fragmentów materii, wyrażona przez Heisenberga w jego słynnej zasadzie nieoznaczoności, stanowi jedno z najbardziej fundamentalnych praw przyrody i posiada kapitalne znaczenie filozoficzne. Zasada Heisenberga obaliła starą zasadę bezwzględnej przyczynowości. Dziś żaden fizyk nie twierdzi, że świat jest mechanizmem, poruszającym się nieodwołalnie po z góry określonych drogach. Dziś każdy fizyk wie, że w trybach tego mechanizmu istnieje pewien luz, który nie pozwala przewidzieć ściśle przyszłości, lecz który daje tylko możliwość szacowania prawdopodobieństwa takiego czy innego rozwoju wydarzeń. Nowoczesna fizyka nie jest mechanistyczna, lecz ponad-mechanistyczna, a mówiąc dokładniej: programy natury nie są mechanistyczne, lecz statystyczne. W myśl praw fizyki kwantowej bardzo małe cząstki materialne wcale nie są tak dalece „materialne", jak to się wydawało na podstawie prymitywnych i powierzchownych obserwacji ciał dużych, a wobec tego i wszystkie wnioski filozoficzne, wysnute z doktryny materialistycznej, budowanej na powierzchownych lub przestarzałych wyobrażeniach o materii, są co najmniej wątpliwe.

Jednym z ważnych czynników, jakie zjednywały wyznawców doktrynie materialistycznej, było przekonanie o trwałości i niezniszczalności materii. Materia zdawała się być tym solidnym fundamentem, na którym można się było oprzeć i mieć pełne zaufania do zbudowanego na nim światopoglądu. Niestety i to przekonanie musiało ulec rewizji pod wpływem nowych odkryć fizyki. Stwierdzono, że materia nie jest niezniszczalna; może ona powstawać i ginąć. Znane są np. zjawiska powstawania par elektronów lub unicestwiania się takich par. Zjawiska te odkryli małżonkowie Irena i Fryderyk Joliot. Fakt istnienia procesów materializacji i dematerializacji wskazuje wyraźnie na to, że materia nie jest pierwotnym i podstawowym czynnikiem we wszechświecie, że jest ona tylko pewną formą (mniej lub więcej trwałą, ale z pewnością nie niezmienną) czegoś ogólniejszego i bardziej podstawowego.

Fizyka kwantowa przyczyniła się w dużej mierze do obalenia pewnej postawy myślowej, którą zazwyczaj określa się terminem „naiwny realizm". Polega on na wierze, że poprzez nasze zmysły posiadamy bezpośredni dostęp do rzeczywistości świata zewnętrznego i że to, co obserwujemy, stanowi obiektywny i nie zniekształcony obraz tego świata. W światopoglądzie naiwno-realistycznym ukryte jest milczące założenie, że wpływ obserwatora na obiekt obserwowany jest niewielki, że zniekształcenie przedmiotu badanego spowodowane przez sam akt obserwacji jest nieistotne i że — przy przedsięwzięciu odpowiednich środków ostrożności — wpływ ten może być dowolnie mały. Współczesna fizyka kwantowa podważa właśnie to założenie, twierdząc, że zakłócenie, wywołane przez akt obserwacji, nie może być zmniejszone poniżej pewnej ściśle określonej granicy, wobec czego nie da się ściśle oddzielić od siebie tego, co jest obiektywne, od tego, co jest subiektywne w naszych doświadczeniach. Obserwowana rzeczywistość nie jest całkowicie niezależna od obserwatora.

Doktryna materialistyczna należy do poglądów naiwno-realistycznych. Stoi ona na stanowisku, że 1) człowiek jest biernym obserwatorem rzeczywistego świata i to, co obserwuje, stanowi nie zniekształconą, niezależną i obiektywną rzeczywistość, — 2) że ta obserwowana rzeczywistość jest czysto materialna, — 3) że ta materia ma czysto mechaniczne właściwości, — 4) że — wobec tego — i sam człowiek musi być tworem czysto mechanicznym i, jako taki, stanowi on tylko pozbawione znaczenia kółko w tym wielkim mechanizmie, jakim jest świat materialny.

Aby obalić jakąś doktrynę, wystarczy wykazać, że jedno z jej założeń jest fałszywe. W tym wypadku sytuacja jest jednak tego rodzaju, że każde bez wyjątku z fundamentalnych założeń tej doktryny jest błędne, lub pozbawione znaczenia.

Po pierwsze: człowiek nie jest biernym obserwatorem obiektywnego świata, lecz w swoich obserwacjach z konieczności rzeczy wywiera subiektywny wpływ na przedmiot obserwowany i to w taki sposób, że nie da się jednoznacznie oddzielić tego, co jest subiektywne, od tego, co jest obiektywne w jego doświadczeniu.

Jeśli chodzi o tezę drugą, to pozbawiona jest ona w ogóle treści i znaczenia, dopóki nie umówimy się, co będziemy rozumieć pod słowem „materia". Gdy jednak zgodzimy się określać materię w sposób przyjęty w fizyce, to — choćby ze względu na istnienie promieniowania elektromagnetycznego — musimy się zgodzić, że rzeczywistość nie jest natury czysto materialnej.

Po trzecie: materia nie posiada czysto mechanicznych własności. Teorie mechanistyczne należą już do historii fizyki i nadają się tylko do opisywania pewnych zjawisk świata mikroskopowego (tj. ciał dużych) w sposób przybliżony, a w wielu wypadkach prowadzą do rażących sprzeczności z doświadczeniem.

Po czwarte: wobec powyższego i człowiek nie jest tworem mechanicznym, a jako współtwórca rzeczywistości (w sensie powyżej wyjaśnionym) nie może być uważany za pozbawione znaczenia, bierne ogniwo otaczającego go świata.

TADEUSZ ZELENAY

PODZWONNE

Pamięci Jerzego Lieberta

Pejzażyki jesienne, pejzażyki płomienne
Spójrz jak woda kaliną się złoci.
Kołysanki jodłowe, dumki — szumki brzozowe
o jabłoni zielonej tęsknocie.

Wiem, pamiętam, kto sośnie, dzwonnym krzyżem wyrośnie,
kto mchem miękkim, kto rosą poranną
kołysanką jodłową, kołysanką brzozową
i powojem i jasną dziewanną.

Wiem, pamiętam, kto marzył, gdy na szarym zegarze
zmierzch wydzwaniał liliowe godziny.
Gdy mchy z gór poschodziły i konwalie dzwoniły,
kto odpływał i tęsknił i ginął.

A gdy smutek i trwoga, jak jałowce szły drogą
i jak brzoza kłoniła się w przeszłość...
Wiem, sprzed oczu twych jasnych, błękitami mgły gasnąc
pejzażyki jesienne odeszły.

Wtedy sosny ze łkaniem, odpłynęły świtaniem,
z łkaniem, z żalem i z rosą i z płaczem.
Że cię nigdy już więcej nie zobaczą, nie znęcą,
chyba trumny sękami zobaczą.

STANISŁAW STOMMA

PROBLEM OŚWIĘCIMIA

Przybywających obecnie na tereny byłych obozów Oświęcimia oczekuje pewne — jeżeli się można tak wyrazić — dodatnie rozczarowanie. Okazuje się, że sprawa zniszczenia i rozszabrowania tutejszych pamiątek historycznych nie przedstawia się aż tak źle, jak się o tym uprzednio słyszało. Gdy mówiłem komuś o zamiarze zwiedzenia Oświęcimia, słyszałem z reguły jednaką odpowiedź: „po co? tam już nic nie ma do oglądania. Wszystko rozszabrowane i zniszczone. Dawne obozy Oświęcimia w ogóle istnieć przestały". Opinie te są jednak — przesadzone. W Oświęcimiu jest wiele do zobaczenia i przede wszystkim, wiele jeszcze do ocalenia. Dlatego istnieje

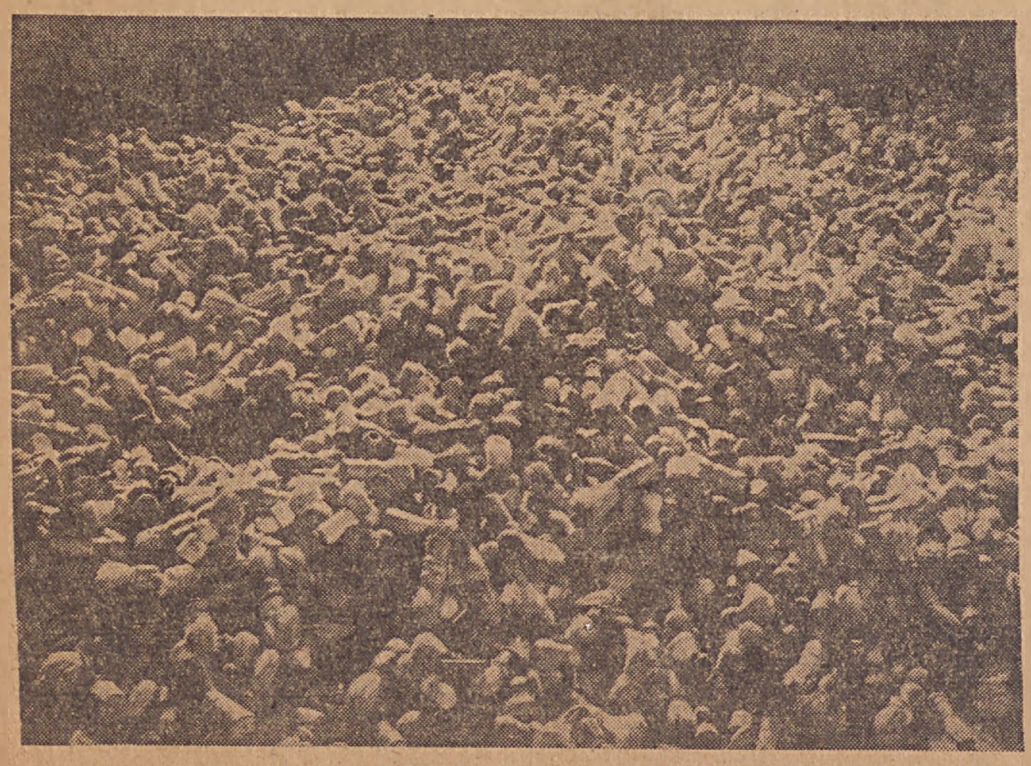

Muzeum: Fragment „Kanady" — pędzle do golenia

ważny i pilny problem ratowania oświęcimskich miejsc martyrologii.

Przez dwa lata szalała tu jakaś niesamowita orgia *niszczenia tego, czego okupant przy ewakuacji zniszczyć nie zdążył. Szał* niszczycielski wywołany bezmiarem ludzkiej chciwości i bezmyślności. Oglądając ślady zniszczenia, mało dziwimy się tym ciemnym instynktom ludzkim, które tu doszły do głosu, ale zrozumieć nie możemy, jak mogło się to stać, że te instynkty ludzkie mogły się tu przez całe dwa lata b e z k a r n i e wyżywać. Dziś zaczął się w Oświęcimiu początek lepszych czasów. Tereny byłych obozów dostały się w pieczołowite ręce dyr. Wąsowicza, byłego więźnia tutejszego obozu i zespołu jego współpracowników; rekrutujących się niemal wyłącznie spośród ludzi, którzy w okresie okupacji przez czas dłuższy lub krótszy także nosili na sobie obozowy pasiak oświęcimski. Przystąpiono do ratowania i leczenia ran. Niezależnie od podjętych prac konserwacyjnych, rozpoczęło się opracowywanie szerokich planów na przyszłość, planów przewidujących jakieś wielkie muzealne rozwiązanie sprawy tych miejsc. Całokształt planów nie został jeszcze definitywnie ustalony. Na pewnych wszakże odcinkach decyzje zapadły i realizacja jest w toku.

W najogólniejszym zarysie, plany te przedstawiają się następująco. Na terenie obozu macierzystego (Oświęcim *sensu stricto)* organizuje się wielkie muzeum, obejmujące także fragmenty o charakterze mauzoleum. Birkenau (Brzezinka) miałoby być rozwiązane jako swego rodzaju — że się tak wyrazimy — „rezerwat" obozowy, przez zachowanie stanu możliwie zbliżonego do sytuacji dawnego obozu śmierci. Związane z obozami Birkenau tereny byłych krematoriów (2, 3, 4 i 5 krematorium) oraz t. zw. doły śmierci, gdzie dodatkowo palono zwłoki, miałyby stanowić wielki cmentarz-park. Gdy chodzi o całe miasto budynków powstałe w związku z istnieniem tutaj obozów, ale znajdujące się poza właściwym terenem obozowym, rozwiązanie tej sprawy nie jest jeszcze przesądzone. Istnieje projekt stworzenia „żywego pomnika", którym miałoby być „miasto chłopców", powstałe przez umieszczenie tu męskich szkół zawodowych wraz z internatami. Projekt ten wywołuje — jak się zdaje — różne zastrzeżenia.

Realizacja muzeum w blokach byłego obozu macierzystego częściowo już sprawę przesądziła. Plany pozostałe mogą być przedmiotem dyskusji. Goszcząc przedstawicieli prasy polskiej, dyr. Wąsowicz zapraszał do dyskusji szczerej i swobodnej. Z zaproszenia tego właśnie korzystam.

Szukając koncepcji najwłaściwszego rozwiązania tych pamiątkowych terenów, trzeba by za wytyczne przyjąć jedno proste założenie. Założenie to brzmi: Oświęcim nie potrzebuje retuszu i nie potrzebuje rozwiązań, zmierzających do wytwarzania nastrojów. Wystarczy pokazać ludziom prawdę. Dlatego trzeba pozostawić Oświęcim możliwie takim, jakim był. Realizm faktów ma wymowę najsilniejszą. I tragicznego patosu faktów nie trzeba ani uzupełniać, ani wzmacniać przez wytwarzanie nastrojów drogą jakichś rozwiązań pomocniczych. Najbardziej skąd inąd udałe pomysły artystyczne mogą tylko osłabiać i zakłócać wymowę nagich faktów. Nie ma geniuszu artystycznego, który wymowie rzeczywistości mógłby tu dorównać. Szukanie efektów na tej drodze wnosi dysharmonię i łatwo może zakłócić powagę miejsca.

Założenie drugie dotyczyć by winno ustalenia — że tak powiemy — pewnych właściwych *proporcji pomiędzy oświęcimskim* obozem macierzystym a kompleksem obozów Birkenau. Tu znajduje się drugi ważny klucz odpowiedniego rozwiązania.

Z ust dyr. Wąsowicza słyszeliśmy takie słowa: „Zrozumieć należy, że Oświęcim macierzysty stanowi tylko fasadę reprezentacyjną tutejszego kompleksu obozów. Obóz macierzysty istniał po to, aby za tą fasadą reprezentacyjną mogły się dziać rzeczy, które się naprawdę działy w obozach Birkenau". Właśnie dlatego akcent główny paść winien na obozy Birkenau.

Eksponaty nagromadzone w salach organizującego się muzeum przytłaczają zwiedzającego i przerzucają jego psychikę w niesamowity świat koszmaru, który tu przez szereg lat był rzeczywistością. — Ale to jeszcze nie to. To dopiero słaby odblask tamtego świata, dopiero zaczynamy coś niecoś rozumieć, zaczynamy się wczuwać. Sugestia tamtego świata ledwie zaczyna działać. Bramy tamtej rzeczywistości otwierają się dopiero w Birkenau, gdy z wysokości wieżyczki strażniczej patrzymy w dół na miasto baraków i las kominów po barakach już zlikwidowanych i gdy idziemy prostymi ulicami tych olbrzymich obozów, które pokrywa już miękki dywan murawy, w którym chwieją się główki rumianków, tak sielankowo zakwitłych tu wielką masą.

O kojach mieszkalnych obozu kobiecego Birkenau słyszeliśmy już wiele i czytaliśmy o nich u Szmaglewskiej. A przecież nie mieliśmy o nich żadnego pojęcia... Setki baraków. Wszędzie ten sam schemat, te same rzędy koji. Koje idące trzema rzędami. Piętrowe, parterowe — te najlepsze, gdzie nie lało z góry i nie dochodzi wilgoć ziemi i te najstraszliwsze koje sutereny: ciemne, wilgotne legowiska na pryczy, gdzie, na oko, zmieściłyby się trzy osoby, a gdzie spychano 6, a czasem do 10 kobiet. — Barak-kloaka zbiorowa zamyka realistyczny obraz tej gehenny ludzkiej. Teraz już rozumiemy... Gdy prowadzą nas jeszcze do ruin krematoriów, jest to już nadmiar. — Już pojęliśmy wszystko. Na krematoria i doły śmierci patrzy się już zobojętniałym wzrokiem człowieka otępiałego. — Zrozumieliśmy, to było — to... Ale to się opowiadać nie daje. Odczuwamy koszmar, jakbyśmy byli weń wplątani, jakbyśmy byli aktorami tego, co się tutaj działo. Czujemy jak to było, gdy po ulicach obozowych uwijało się mrowie ludzkie, gdy z krematoriów wydobywał się słodkawo-mdławy zapach trupiej spalenizny, a na rampie kolejowej wyładowywano coraz nowe transporty ludzi przeznaczonych do komór gazowych i pieców krematoryjnych. Staliśmy się aktorami tamtej rzeczywistości. Rozumiemy tych w pasiakach, którzy tędy przeszli. Rozumiemy, że jest taki specyficzny, nieznany dotąd rodzaj zadowolenia, polegający na tym, że się zdobyło miejsce w baraku-kloace i rozumiemy, że o utrzymanie tego otworu w kloace mogły się rozpętywać brutalne konflikty między ludźmi. Odczuwamy to dobrze, bo zrozumieliśmy, czym był tu c z ł o w i e k... Zaczynamy rozumieć, dlaczego mogły się zdarzać wypadki, że na rozkaz SS-manna jeden więzień zabijał drugiego łopatą.

Świat nie zna więcej miejsc jak to. To nie tylko były fabryki śmierci. Krematoria — gdy już pięć krematoriów razem kurzyło — spalały dziennie około 20.000 osób. — Ale podaż ludzkich istot na spalenie przeznaczonych była jeszcze większa. Więc wywłaszczono domki w lesie, uszczelniono je i wykorzystano jako komory gazowe. Ludzi tam uduszonych palono w lesie na polanie — w t. zw. „dołach śmierci". — Ale coś jeszcze gorszego, coś straszliwego. To były wielkie fabryki o d c z ł o w i e c z a n i a. Barak-kloaka jest tu zabytkiem najwymowniejszym, najbardziej symbolicznym. Z człowieka pozostać miała sama tylko nędza ludzka. Jesteśmy na miejscu, gdzie dokonano gigantycznego eksperymentu odczłowieczenia człowieka. — Czy nie było to przedsiębiorstwo szatana?

W tym to przedsiębiorstwie diabelskim Ojciec Kolbe ofiarował się na śmierć zamiast sierżanta Gajowniczka.

Są ludzie, którzy dyskutują nad celowością przeprowadzanych i planowanych tu prac ochronnych. Ludzie ci albo nie byli na terenach byłych obozów, albo zdradzają przytępienie psychiczne. Obozy prowadzą nas w świat tamtej prawdy. Dla naszej psychiki spełniają rolę objawienia. Każą przeżyć koszmar, którego inaczej zrozumieć nie ma sposobu. Tę prawdę trzeba i dać światu i przyszłym pokoleniom ludzkim przechować. Argument, że szkoda na to pieniędzy jest argumentem barbarzyńskim. Jeżeli kierownictwo obecne Oświęcimia boryka się wciąż z wielkimi trudnościami finansowymi to stanowi to tylko *testimonium paupertatis* dla naszego wyrobienia kulturalnego. Ludzie o małej wrażliwości, którzy tych rzeczy odczuć nie są w stanie, niechże zrozumieć zechcą, że nie powinni sądzić według siebie, że świat na te rzeczy inaczej patrzeć będzie i — jak wskazują fakty — już dziś inaczej zgoła patrzy.

Nie było żadnej akcji propagandowej popularyzującej Oświęcim za granicą. A oto, opowiada dyr. Wąsowicz, że na czerwiec tego roku zgłosiły swój przyjazd liczne wycieczki ze wszystkich stron świata, przeważnie byli więźniowie. Kilka wycieczek z Ameryki, z Francji, Anglii, Czechosłowacji, Jugosławii, Austrii itd. Kierownictwo Oświęcimia zmuszone było prosić o zaniechanie projektów przyjazdów masowych i ograniczenie się do wysyłania małych delegacji złożonych z paru osób. Chodziło o to, że w obecnym stadium nie było możliwości technicznych przyjęcia tak wielkiej masy ludzkiej. Ale trzeba się z tym liczyć w najbliższej przyszłości. Oświęcim stanie się miejscem pielgrzymek i wycieczek z całego świata. Stwarza to dodatkowy wielki problem do rozwiązania. Zagadnienie hoteli, czy domów turystycznych, które by zdolne były pomieścić i dać utrzymanie masie napływających tu turystów. Rozwój przemysłu hotelarskiego w Oświęcimiu jest sprawą zupełnie naturalną, choć dotąd niezrozumianą. — A sprawa wymaga przemyślenia i rozwiązania, które by w niczym pietyzmu miejscom tym należnego na szwank nie narażało i powagi miejsca nie zakłócało. Wydaje się zupełnie naturalne wykorzystanie w tym celu obszernych budowli mieszczących dawne koszary SS, zamiast projektowanego „Miasta Chłopców". Zapomina się, że chodzi o świadectwa dokumentarne faktu jedynego na przestrzeni całych dziejów ludzkich, mechanicznego niszczenia milionowych mas ludzkich. Los uczynił nas dyspozytariuszami tragicznych pamiątek, na które zwracają się oczy świata. Dlatego nie jest obojętne, w jaki sposób sprawa zachowania tych miejsc zostanie rozwiązana.

Stawiam tezę, że rozwiązaniem najwłaściwszym jest właśnie koncepcja, którą terminem „rezerwatu" nazwaliśmy powyżej. Zachować obóz w takim stanie, w jakim był, gdy był „fabryką śmierci". Koncepcji tej grożą pewne niebezpieczeństwa. W Birkenau planowane jest wzniesienie wielkiego mauzoleum narodów w miejscu, gdzie znajdują się ruiny 3-go (największego) krematorium. Rozwiązanie takie byłoby jaskrawym dysonansem na tle całości obozu, pomyślanego słusznie jako „rezerwat". Mauzoleum byłoby próbą jakiejś symbolicznej syntezy ideowej obozów. Wobec nieporównanego patosu nagich faktów, taka sztuczna synteza ideowa musiałaby być zgrzytem dość przykrym, psującym styl całego rozwiązania. Nie zawahałbym się powiedzieć o profanacji miejsca przez brak koniecznej dyskrecji i tendencję do zupełnie niepotrzebnych tu efektów dodatkowego patosu.

Tereny te stanowią dokument historyczny. Mają mówić prawdę o potwornościach hitleryzmu. Prawdę tę usiłowali Niemcy zatuszować. Dlatego w momencie ewakuacji wysadzono w powietrze wszystkie krematoria. Ale prawdę tę trzeba uwiecznić. Dlatego słuszną jest myśl całkowitej rekonstrukcji przynajmniej jednego ze zniszczonych krematoriów. Byłoby to przywróceniem dawnego stanu, nie zakłócające charakteru obozu. Przyszłe pokolenia wszystkich krajów mogłyby oglądać na własne oczy „fabrykę śmierci", stanowiącą zasadniczy instrument władztwa politycznego hitleryzmu nad Europą. Cofający się okupant chciał zatrzeć ślady zbrodni. Chodziło o to, by potworności Oświęcimia mogły się stać legendą, której by przyszłe pokolenia nie mogły rozumieć dosłownie. Odbudowanie krematorium byłoby pokrzyżowaniem tych tendencji. Byłoby to pokazaniem naocznym, że fabryki śmierci były faktem realnym, nie legendą.

Gdy chodzi o muzeum w blokach obozu macierzystego już realizowane, walorem jego jest trzymanie się koncepcji czystego realizmu faktów. Rozróżnić należy: muzeum *sensu stricto,* bloki potraktowane jako „rezerwat" i wreszcie kawałki o charakterze mauzoleum.

Jako „rezerwat" rozwiązano blok 11, tzw. „blok śmierci", dawne więzienie wewnętrzne na terenie obozu, ze znajdującymi się w podziemiu izbami tortur oraz z podwor-

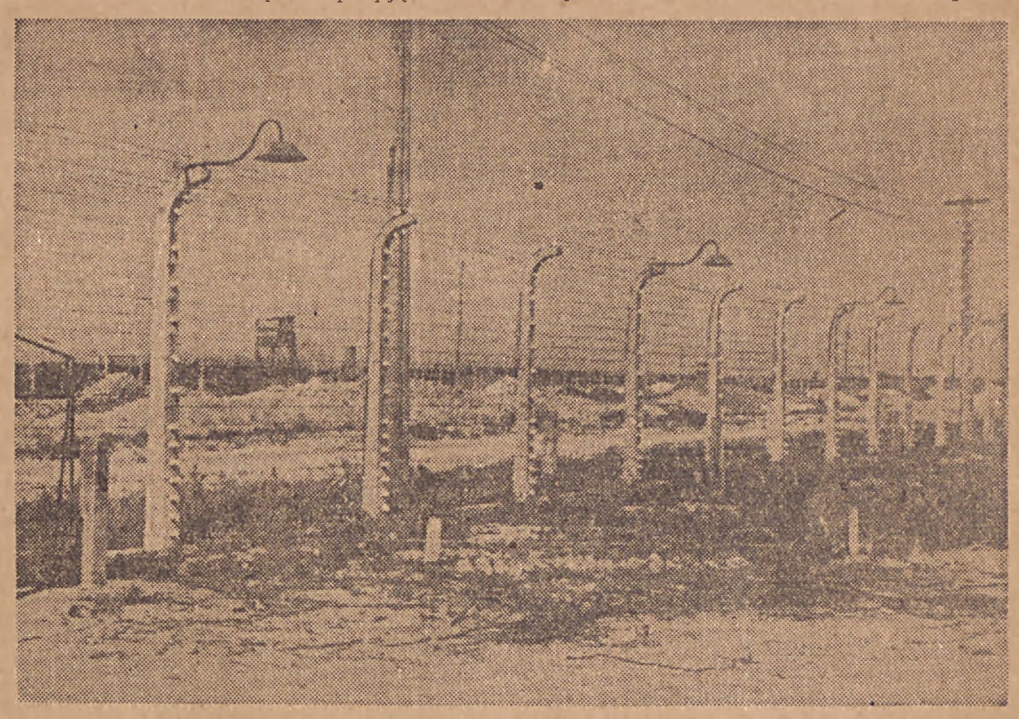

Druty obozu w Birkenau

cem, na którym rozstrzeliwano więźniów politycznie obciążonych oraz oficerów WP. „Rezerwat" w najdosłowniejszym sensie stanowi też blok ilustrujący życie więźnia. z zachowaniem pełnego urządzenia z dawnych czasów.

Muzeum w ścisłym sensie, to t. zw. „Kanada". Więźniowie Oświęcimia mieli zamiłowanie do egzotycznych określeń. Najdalszy obóz Birkenau nazywał się: „Meksyk". Ponieważ panowała tam dość luźna dyscyplina, Niemcy poniekąd nie panowali nad tym terenem, i na sucho uchodziły

sprawki, za które w innych obozach groziły najstraszniejsze kary, więc pojawiło się określenie: „Meksyk", że to niby domena dzikiej wolności. A znowuż wyraz „Kanada" oznaczać miał egzotyczne bogactwa baraków mieszczących składy przedmiotów i kosztowności zabranych więźniom oraz milionom ludzi, których w Oświęcimiu wprost do pieców krematoryjnych skierowywano. Były to swego czasu bogactwa zupełnie fantastyczne. Dziś pozostały tylko resztki resztek, stosy niepotrzebnego śmiecia, którym wzgardzili szabrownicy. Rzeczy najcenniejsze wywozili Niemcy natychmiast w głąb Rzeszy, resztę wywożono w momencie ewakuacji, a co jeszcze pozostało rozgrabili szabrownicy w okresie smutnej pamięci *interregnum* w Oświęcimiu.

A przecież jeszcze te resztki, nagromadzone w salach muzeum stanowią dokument historyczny o największej sile wymowy. Sala pierwsza: szczotki do zębów, całe stosy szczoteczek do zębów. Dalej nożyczki, pudełka od pasty do obuwia z napisami we wszystkich językach Europy, aparaty i pędzle do golenia, puste walizki itd. Całe piętro jednego bloku zajmują buty: olbrzymie sterty butów, sterty, na które gdzie niegdzie wchodzić trzeba po drabinie. Najwymowniejsze są stoiska zawierające stosy dziecinnych ubranek i protezy oderwane kalekom niszczonym w komorach gazowych. Dowód — jakich to niebezpiecznych wrogów III Rzeszy likwidowano milionami w komorach gazowych Oświęcimia. Osobną salę zajmują włosy obcięte wymordowanym kobietom. Oglądamy tylko resztki zapasów włosia ludzkiego. Władze niemieckie wykorzystały ten materiał dla robienia materaców, później wojsko tutaj kwaterujące paliło tym w piecach. Pozostało tylko około 2.000 kg włosia ludzkiego.

W muzeum brak napisów i komentarzy. Milczenie to ma treść najgłębszą. Fakty mówią za siebie. Po co napisy?... Każda szczoteczka do zębów, każda para butów to, przeciętnie biorąc, jedno ludzkie istnienie tutaj zgaszone. A są tego stosy. Realizm i dyskrecja w rozwiązaniu tych niesamowitych sal muzealnych, zawierających tak szczególne zbiory, zasługują na największe uznanie. W podziemiu jednego z bloków urządzono katakumby, gdzie się gromadzi popioły ofiar w krematoriach i dołach śmierci zniszczonych. W innym bloku mamy mauzoleum ze stoiskami, symbolizującymi narodowości i grupy ludzkie tutaj niszczone.

*

Wyjeżdżamy z Oświęcimia w przekonaniu mocno utwierdzonym, że sprawa jest w dobrych rękach, że znalazł się zespół ludzi, który z pietyzmem i energią zabrał się do rozwiązania problemu.

Czas był najwyższy, bo zuchwalstwo szabrownicze przebrało tu już wszelką miarę. Na terenach „dołów śmierci" Niemcy palili ludzi w ubraniu, stąd popioły zawierają pewne ilości złota i kosztowności, które wymordowani mieli zaszyte w odzieniu. Inicjatywa szabrownicza zorganizowała tu całą kopalnię złota. Widzi się szereg „bieda-szybów", gdzie pojedyńczy szabrownicy dokonywali poszukiwań, a nieco dalej wielkie instalacje techniczne całych przedsiębiorstw eksploatacyjnych. Nie żałowano nawet nakładu kosztów. Zbudowany został rurociąg, doprowadzający wodę dla przepłukiwania popiołów. Dziś wyparci z terenów obozu, zagnieździli się na dawnych śmietniskach, przeszukując doły odpadków, wyrzuconych ongiś z obozu. Widzi się szereg skulonych postaci, grzebiących w cuchnącym śmietnisku.

Wandalizm jeszcze i w innej formie pastwi się nad pamiątkami Oświęcimia. — W „bloku śmierci", w celach podziemnych, gdzie więźniowie kładli na ścianach swe ostatnie napisy w godzinę śmierci, odprowadzani na egzekucję, gdzie ręce jakiegoś rysownika wydrapały na murze postać Chrystusa, na tych ścianach zwiedzający barbarzyńcy uważają za wskazane wypisywać ołówkiem swoje nazwiska, nierzadko z podaniem adresu. Władze muzeum niełatwą mają z tym walkę.

Problem Oświęcimia jest zagadnieniem społecznym. Nie rozwiąże się go po urzędniczemu. Rozumie to najlepiej dyr. Wąsowicz, szukając kontaktu ze społeczeństwem i apelując do opinii.

STANISŁAW STOMMA

ANDRZEJ JÓZEF KAMIŃSKI

PROPAGANDA WOJNY CZY POKOJU?

Najbardziej zasadniczym celem, jaki należy osiągnąć w stosunku do Niemców i jaki pragną osiągnąć wielcy sojusznicy jako wykonawcy woli wszystkich miłujących pokój narodów — oczywiście o tyle, o ile nie dążą do osiągnięcia własnych celów — jest uniemożliwienie ponownego wywołania wojny przez Niemcy, ponownej napaści niemieckiej na Europę i świat.

Temu celowi służyć mą okupacja i rozbrojenie, zdemontowanie fabryk zbrojeniowych i zawiły system sojuszów obronnych. Niemniej środkiem najbardziej zasadniczym i najskuteczniejszym, gdyby można go użyć, jest pozbawienie samych Niemców woli wojny.

Zagadnienie pacyfikacji *kriegslustigen Volkes* rozwiązać można bądź szerzej, co nazwałbym programem maksymalnym, bądź też ciaśniej, co nazwijmy dla wygody programem minimalnym.

Program maksymalny obejmowałby wpojenie Niemcom etycznych pojęć „norymberskich", uznających wojnę samą przez się za zło, a napaść wojenną za zbrodnię. Przedstawicielem programu maksymalnego w stosunku do Niemców jest m. in. lord Beveridge, który ostatnio oświadczył, że nauka, jakiej udzielił „temu wysoce inteligentnemu narodowi" ustrój hitlerowski i wojna przezeń wywołana, stwarza „pomyślną sposobność, aby Niemców pozyskać na stronę tych, którzy reprezentują żądanie, aby wojna była na zawsze zakazana".

Program minimalny sformułował mimo woli autor pewnego listu do redakcji „Telegraf", który domaga się trwałej neutralizacji Niemiec z następującym uzasadnieniem: „Uczyniliśmy gorzkie doświadczenie, że jest nie tylko **niebezpieczne**, ale **bezcelowe** i tym samym **bezsensowne** dążyć do uzyskania jakichkolwiek korzyści na drodze wojennej... **Stąd** uzyskaliśmy przekonanie, że w każdym wypadku należy iść drogą *pokojowego porozumienia*". *Podkreślenia są moje* i mają wskazać na to, jak ów Niemiec z rozbrajającą naiwnością przyznaje, iż wojna celowa i mało niebezpieczna, a zatem sensowna, miałaby jego pełne uznanie. Niemniej na tej właśnie drodze — wybicia Niemcom z głowy możliwości uzyskania na ścieżce wojennej czegokolwiek prócz ruin i gruzów — można tymczasem osiągnąć ich niechęć dla wszelkich wojennych poczynań ewentualnego nowego rządu nacjonalistycznego. Później zaś przyjść może czas na głębsze wychowanie pacyfistyczne.

Niestety jednak cała propaganda, prowadzona przez czynniki sojusznicze — szczególnie anglosaskie — w Niemczech, za pokojem, wychodzi właśnie z założenia programu maksymalnego i dzięki temu wywoływać może skutek wręcz przeciwny do zamierzonego.

Niemcom bardzo mało mówi się dziś o tym, że zostali pobici — natomiast ciągle, że bili innych. Gdyby się czytało tylko powieści w gazetach niemieckich czy oglądało sztuki w niemieckich teatrach, dość trudno byłoby zrozumieć, dlaczego właściwie sojusznicy okupują Niemcy i jak to się stało, że nie Niemcom przypadło ostatecznie zwycięstwo w udziale. Parę niewyczerpujących przykładów: powieść w „Tagesspiegel" p. t. „Ob Tausend fallen" opowiada o klęsce Francji i o niemieckich w niej rządach; wystawiona niedawno sztuka „Zakładnicy" („Geiseln") o tym samym mniej więcej temacie; film „Mordercy są pośród nas" — o srogich niemieckich rządach na wschodzie; wszędzie jednym słowem opowiada się o zbrodniczych niemieckich rządach nad innymi, w naiwnym przekonaniu, że się przez to Niemcom obrzydzi podobne postępowanie.

Tymczasem jednak niemiecka widownia i niemiecki czytelnik — wczorajszy *SS-man*, żandarm, czy żołnierz okupujący — zna te wszystkie sprawy dobrze i lepiej, niż autor powieści czy scenariusza. Jeżeli przeto nie obrzydły mu w naturze, nie ma szans na obrzydzenie ich z ekranu. Ci, którzy nie widzieli tego na własne oczy, mają odpowiedź gotową: „Znamy te bajeczki o okropnościach *(Greuelmaerchen)*, jeszcze z 1918 roku!" (Z listu anonimowego do redakcji „DND im Bild").

Jedynym przeto skutkiem opowiadania i pokazywania niemieckich rządów w innych krajach jest **przypominanie** owych dobrych czasów, kiedy to Niemcy rządzili innymi, a nie inni Niemcami. Przypominanie zaś budzi tęsknotę.

Jednocześnie zaś z pomocą tej świadomej czy *nieświadomej propagandy dawnych, dobrych*, zwycięskich lat przychodzi obecne opowiadanie o tym, jak to świat Niemców się boi. „Wytworzyła się formalna psychoza strachu całego świata przed Niemcami" — powiedział niedawno Schumacher. „Demilitaryzacja, denazyfikacja i demokratyzacja Niemiec są środkami, u których podstaw leży myśl o zabezpieczeniu się przed nowymi napaściami niemieckimi" — pisze „Neue Zeit" (9. 3. 47).

„Nasz zbiedniały i ciężko doświadczony naród musi odpowiadać za strach, który rozprzestrzeniały czyniące przemoc Wielkie Niemcy" — pisze „Neues Deutschland" (15. 1. 47). Wypowiedzi te, również często mimo woli, podsuwają Niemcom myśl, że świat się ich boi, że zatem próba nowej ofensywy na zdobycie świata nie byłaby całkowicie pozbawiona widoków — a z nią powrót do owych szczęśliwych czasów z powieści i teatru, kiedy Niemcy zasiadali wysoko na tronie władzy nad narodami. Niemcy niezmiernie lubią, aby się ich obawiano.

Rozsądniej już przeto podchodzą do zagadnienia te pisma niemieckie, które tłumaczą Niemcom konieczność pacyfikacji nastrojów i polityki ze względów czysto praktycznych, jak właśnie przytoczony wyżej autor projektu neutralizacji, jak np. przewodniczący CDU w prowincji Sachsen-Anhalt, dr. Herwegen, który obiecuje Niemcom pokój i lepsze warunki życia, tym rychlej, „im szybciej wytępiony będzie w Niemczech faszyzm i militaryzm", jak wreszcie autor jednej z odpowiedzi na ankietę „Schwäbisches Tagblatt" o militaryzmie i pacyfizmie, który definiuje te dwa pojęcia jak następuje: „Militaryzm, to: armaty zamiast masła. Pacyfizm, to: masło zamiast armat".

Te kilka słów wartoby rozrzucić w milionach egzemplarzy po Niemczech — o ile bowiem „etyka", „krzywda", „zbrodnia" itp. są dla Niemców pojęciami dość mglistymi, o tyle „masło" stanowi dla nich coś zupełnie konkretnego i przemawia do duszy niemieckiej niezmiernie dobitnie.

Istnieje jeszcze jedno niebezpieczeństwo — powstanie nowej legendy „sztyletu w plecy". Pewne wypowiedzi i listy do redakcji pism wskazują, że szerzy się w Niemczech propagandę szeptaną, jakoby armia niemiecka znowu została „niezwyciężona w polu", że wszystkiemu winna była zdrada i sabotaż, względnie jakieś błędy, których dałoby się uniknąć. W wydawanych przez Anglików „Luebecker Nachrichten-Blatt", jeszcze z czerwca 1945 roku znajdujemy taką wypowiedź gen. Jodla *(straconego w Norymberdze), który widzi przyczynę sukcesów* alianckich we Francji w błędach taktycznych sztabu niemieckiego. Redakcja pisma słusznie zaopatruje to w komentarz, że „choćby niektóre, lub nawet wszystkie wspomniane przez Jodla błędy nie miały miejsca, Niemcy byłyby stanowczo musiały przegrać wojnę".

Wnioski praktyczne są następujące: Należałoby Niemcom przestać opowiadać o tym, jak oni zwyciężali i bili innych, natomiast rozpowszechnić w Niemczech powieści, sztuki teatralne, filmy itp. o temacie przeciwnym, tj. o niemieckich klęskach wojennych, o Stalingradzie i Tunisie, o ofensywie na Berlin i o ofensywie na Paryż. Nawet radziecki film „Wielki Przełom" nie spełnia tutaj dostatecznie tej roli,

MAREK CELT (7)

KONCERT

Opowiadanie

Odczuwam silne znużenie. Tęsknota do łóżka wzmaga się we mnie z minuty na minutę. Uśmiecham się sam do siebie gorzko i zgryźliwie: łóżka mu się zachciewa, tu, w tym pustkowiu białym, zdala od wszelkiej ludzkiej pomocy.

Mijamy lasy i pola, drogi i rowy, bróżdy i pagórki. Jakie to szczęście, że wszystko zamarznięte, że ten uciążliwy marsz na przełaj nie musi być co chwila przerywany na jakiejś rzece, czy rowie pełnym wody.

Zaciąłem się; postanowiłem nie proponować pierwszy odpoczynku. Jak to? przecież jestem od Buki co najmniej o kilkanaście lat młodszy. Zaczyna budzić się we mnie wielkie uznanie i współczucie dla niego. Dzielny człowiek, silny i zacięty. Jak to dobrze, że go mam tutaj, że wiem, iż nie jestem sam, że słyszę za sobą sapanie jego zmęczonych płuc. Że mogę szeptem zamienić parę słów.

Dlaczego szeptem? Bo mnie o to prosił, bo — mimo, że naokoło nas śmiertelna cisza i pustka — Buka może mówić tylko szeptem i aż wzdryga się przy każdym głośniejszym słowie. Ciągle wydaje mu się, że jesteśmy ścigani. Mijamy jakąś wieś. Psy ujadają. Nienawidzę psów w takich okolicznościach. Zdaje mi się, że cały świat zaraz zleci się do nas, taki hałas robią, taki wrzask i ujadanie. I co jeden skończy, to drugi zaczyna, psiakrew!

Zadymka wzmaga się, robi się coraz nieprzyjemniej. Zgrzałem się i staram się iść nieco wolniej, ale tak, aby Buka nie myślał, że ustaję.

Chwycił mnie atak kaszlu. Zachłystuję się powietrzem, śniegiem, wiatrem — ale nie przestaję iść. Po dobrej chwili kaszel mija, ale od tego czasu chrząkam już i kaszlę co chwila i wiem, że to potrwa teraz przez kilka tygodni. Buka także jest chyba przeziębiony, ciągle pochrząkuje i spluwa.

Dochodzimy znowu do wsi, tym razem pod wiatr. Żadna bestia jeszcze nas nie zwietrzyła. Nie mam najmniejszej ochoty na omijanie wsi — szeroko ciągnie się w prawo i lewo — walę więc prosto w środek, zerkając tylko na kompas podczas krótkich przystanków. Obieram następny punkt przede mną i idę dalej. W pewnej chwili pytam Bukę która godzina.

— Trzecia. A co, warto by się tu gdzie przespać, prawda?

— O, ja wcale nie o tym myślałem, ale jeśli chcesz, to możemy. Tu, na skraju wsi — pod wiatr — będzie nawet dobrze, bo nas nikt nie usłyszy.

Czuję, nie patrząc w tył, że Buka się uśmiecha. Widzi przecie, że wyraźnie słabnę i ustaję, że przystanki — niby to dla zerknięcia na kompas — są coraz częstsze. Ale i on ma dość. Druga nieprzespana noc i tyle drogi i tyle przejść.

Pierwsza z brzegu jest stodoła. Wrota zaparte, nie można się do niej dostać normalnie, próbujemy więc od pola. Pod dachem są duże otwory, ale nie mamy siły, by się do nich podciągnąć na rękach. Namacaliśmy wreszcie jakąś ruszającą się deskę, wygięliśmy ją i udało się nam wcisnąć do wnętrza.

Wszędzie słoma i siano — trzeba piąć się ku górze, uważając równocześnie na rękę, która boli, i na to, by niczego nie zgubić z kieszeni. Wylazłem wreszcie na górę, zagrzebałem się w siano, przykryłem suknem. Z początku drżałem z zimna, powstrzymując się od kaszlu. Buka, wierząc się z boku na bok, pochrząkiwał z cicha. Po chwili szuranie ucichło. Było mi coraz cieplej i, coraz bardziej senny, słuchałem, jak jakieś szmery ciche chodziły jeszcze czasem dokoła, jakieś trzaski, wciąż rzadsze i cichsze. Dalekie szczekanie psa było moją kołysanką. Kończył się w tej chwili jeden z najbardziej pamiętnych dni w moim życiu — groźny, mocny, niezapomniany pierwszy dzień pobytu w Polsce.

Budzę się. Nie mogę powiedzieć, że wstaję, bo spałem w mej dziurze w pozycji prawie stojącej. Nie wiem, dlaczego się zbudziłem — aha, słychać czyjeś ciężkie kroki. Oddalają się od stodoły, cichną. Wołam szeptem:

„Buka! Buka! Zbudź się, spójrz na zegarek!"

Rzeczywistość jest ponura. Bardzo zimno i ciemno. Ale daj Boże, aby dzisiaj było tak pomyślne, jak wczoraj.

Gramolimy się z trudnością ze stodoły; deska, która nas tak gościnnie wpuściła do środka, nie chce nas teraz wypuścić. Mocujemy się z nią długo, huk się robi i gwałt.

Jesteśmy wreszcie na zewnątrz.

Zadymka — brrr, jak nieprzyjemnie. Ciemno zupełnie.

Przecinamy szybko wieś i dochodzimy do szosy, która biegnie z przeciwnej strony wioski. Szeroka ładna droga, równa jak stół, wysadzana po obu stronach drzewami. Słupy telefoniczne. To szosa Łowicz—Sochaczew.

Maszerujemy nią raźno w kierunku Sochaczewa; jeden obok drugiego, a nie jak dotąd: jeden za drugim.

Szosą idzie się wyśmienicie — przy każdym kroku błogosławi się równy grunt pod nogami — ale musimy się jednak z nią pożegnać. Nie bardzo bezpieczny jest ten spacer, dzień wstanie już niedługo i szosa się pewnie zaludni. Trzeba zejść na prawo i iść dalej polami, jak przedtem. Przykre to, ale konieczne. Brniemy po śniegu, zapadamy się głęboko w zaspy. Śnieg i zmarznięte grudy roli mają to do siebie, że są potwornie złośliwe.

Jakieś łozy przed nami — dolina rzeki.

„Bzura" — mówi Buka.

Smutna rzeka Bzura — myślę — wygląda naprawdę melancholijnie. Dość szeroka i zapewne głęboka — ale zamarznięta. Można iść. Posuwam się ostrożnie, lecz po chwili idę pewniej, mocniej, strach mija. Staję nagle! Serce mi skacze do gardła, nogi wrastają w lód. Trzask jeden, drugi, trzeci — każdy głośniejszy od poprzedniego.

Lód się łamie, zaraz będzie po mnie — myślę głupkowato. Energia jednak przypływa. Wołam na Bukę, żeby tędy nie szedł, a sam kładę się ostrożnie na lodzie, bo z tyłu już się pokazuje woda i boję się wracać. Czołgam się powoli — obawiam się każdego szybkiego ruchu, — potem klękam, oglądam się. Tam, gdzie byłem przed chwilą, jest już czarno od wody.

Buka już jest na tym brzegu. Przeszedł szczęśliwie trochę powyżej mnie. I pod nim także lód się załamał, ale nie tak groźnie.

Idziemy dalej. Znowu jakaś wieś. W jednej z chat świeci się. Pukamy do okna. Jesteśmy zmęczeni i chcemy tu gdzieś wypocząć przez parę godzin. Ale tubalny, zaspany głos klnie nas, ile wlezie i zapowiada, że nie otworzy.

Idziemy wsią, przeprowadzani zgrają agresywnych psów. Znowu światło w oknie i znowu taka sama odpowiedź na nasze pu-

o którą chodzi, ukazuje bowiem moment ryzyka po stronie rosyjskiej; tymczasem zaś Niemcom trzeba pokazać matematyczną pewność ich klęski, jej absolutną, nieuniknioną konieczność.

Po drugie, im więcej im się pokaże okropności wojennych (tzn. nie więźniów w obozach koncentracyjnych, mordowanych przez niemieckie SS, ale żołnierzy niemieckich na froncie pod gradem pocisków „Katiusz" i artylerii okrętowej, pod bombami Moskitów i w przepastnych śniegach Rosji) — tym lepiej. Byle oczywiście nie przesadzić. Odzywają się już w Niemczech głosy, domagające się rzucenia zasłony na okropności wojny — głosy te dobrze wiedzą, czego pragną. „Pięknie jest być żołnierzem!" — mówi niemiecka piosenka. Trzeba Niemcom pokazać, że jest boleśne i niebezpiecznie.

Nie należy nawet podkreślać (jak np. gen. Devers, USA, we wspomnianym numerze „Luebecker Nachrichten-Blatt"), że Niemcy są pobite. Należy im mówić, że będą pobite, będą pobite i zniszczone tak jak obecnie i gorzej, skoro tylko ośmielą się jednym palcem ruszyć przeciw komukolwiek. Skoro się już nie ukarało Niemców dostatecznie surowo za obecną wojnę, należy im przynajmniej odebrać ochotę do następnej.

Natomiast takim dość szkodliwym maniakom, jak lord Beveridge, pozostawić należy zdanie, że „nie można wzbudzać w Niemczech, w sprawie granic, szczególnie na wschodzie, palącego poczucia niesprawiedliwości". Gdyby lord B. zechciał poznać trochę lepiej naród, którym tak troskliwie się zajmuje, zrozumiałby, że będzie on czuł palącą niesprawiedliwość zawsze, gdy nie będzie mógł panować nad światem.

Jedyne przeto, co pozostaje do zrobienia, to wytłumaczyć Niemcom, że panowanie takie jest nieosiągalne i ogromnie niebezpiecznie jest do niego dążyć. A pacyfizm — to masło.

ANDRZEJ JÓZEF KAMIŃSKI

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

URYWEK Z KORESPONDENCJI

Cluj, w maju.
(Rumunia, Siedmiogród)

Nie mam zamiaru wchodzić w to, jakie więzy łączą Polskę z Siedmiogrodem. Stefan Batory, Bem, unitarianie polscy, uchodźctwo polskie z czasu powstań... Widoczne dla oka są dzisiaj tylko liczne groby na cmentarzu, noszące nazwiska arcypolskie i wyczuwalna jest sympatia, jaką ludność siedmiogrodzka, zarówno węgierska, jak i rumuńska, choć jest to na ogół ludność o charakterze skrytym i mało wylewnym, darzy Polaków. Coraz to ktoś wyznaje, że miał babkę Polkę.

W katedrze grecko-katolickiej, z prawej strony ołtarza, umieszczony jest spory obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, ofiarowany, na prośbę piszącej te słowa, do kościoła przez Marię z Kasterskich Sergescu, Polkę, żonę znakomitego matematyka, profesora uniwersytetu w Cluj w 1939 r. W roku owym było tutaj około stu Polaków uchodźców, gościnnie przyjętych przez miasto, w którym na piśmie figurował „obóz" dla Polaków. Obozu takiego oczywiście nigdy nie było. Również i w katedrze rzymsko-katolickiej, a więc węgierskiej, był umieszczony obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej na jednym z bocznych ołtarzy, po to, aby uchodźcy mieli się gdzie pomodlić trochę bardziej po swojsku, ten jednak, z chwilą zajęcia Siedmiogrodu przez Węgrów, usunięto, w obawie, „że to mogłoby wzbudzić komentarze Niemców". Jednak w katedrze grecko-katolickiej obraz przetrwał cały czas.

Wzruszający dowód swych uczuć dla Polski dał jeszcze tutejszy Kościół rumuński, wydając w 1944 roku w kalendarzu, który rozchodził się w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy, podobiznę Matki Boskiej Częstochowskiej. Miał to być dowód pamięci o Polsce, jedyny, jaki tutejsi Rumuni mogli dać w owej chwili. Kalendarz, układu ks. Chindrisza, był wydany przez wydawnictwo im. św. Nikity, za zezwoleniem ks. Kanonika Dr. Avrama. Musiało się to stać pod wpływem wiadomości o tym, co się działo w Polsce, przywożonych tutaj z Budapesztu przez Ojca Piotra Wilka-Witosławskiego, Franciszkanina, i Ojca Michała Zembrzuskiego, Paulina, którzy, podejmowani gościnnie przez katolickie duchowieństwo węgierskie, nie zaniedbali wejść w stosunki także i z klerem grecko-katolickim. Ojciec Michał przysłał nawet specjalnie tutaj młodego Jezuitę Polaka z Szeged dla spowiadania tych, którym spowiedź po węgiersku była trudna lub nie w smak.

Jedyną polską pamiątką tutaj jest grób majora Romana Stadnickiego, pochowanego zimą 1939 na cmentarzu tutejszym. Jeszcze wówczas sporo tu było Polaków i major miał kondukt pokaźny, z czwórką koni, wysokim karawanem, muzyką i asystą wojskową, prowadzony przez księdza Węgra. Na trumnie leżała szabla i czapka wojskowa polska, pożyczone zmarłemu przez konsula polskiego w Cluj, p. Tadeusza Stapińskiego. Wszystko było zresztą obce, oprócz modlitwy „Anioł Pański", odmówionej przeze mnie nad grobem. Krzyż dębowy na grób wyjednał potem u wojska p. Roessler, muzyk znany i w Polsce. Opiekę nad grobem od lat sześciu wykonywam, kulawo zresztą dosyć, ja sama. Ponieważ wszystko co lepsze bywa z grobów kradzione przez tuziemców, grób jest obsadzony kwiatami leśnymi, uważanymi tu za chwasty, i różami, których, o ile nie są bardzo piękne, w tym kraju tak obficie w róże zaopatrzonym, nikt nie rusza. Róże powoli dziczeją, lipki, sosenki i jeszcze jakieś dziwaczne drzewka, sadzone jako brzozy i potem zdemaskowane — rosną, majolikowy orzełek, przybity do krzyża, kołysze się na wydmuchu, gdzie zbiegają się wszystkie poświsty okoliczne...

Drugim — obok Kościoła — pomostem poprzez który przechodzi porozumienie i zapoznawanie się społeczeństwa węgierskiego z polskim — to młodzież.

Coraz szerzej rozpowszechnia się zwyczaj, żeby szkoły różnych krajów korespondowały ze sobą. Taka możliwość korespondencji międzyszkolnych zarysowuje się tutaj, w Cluj, bardzo pomyślnie. Moja mała uczennica, p. Aurora Hategan, już napisała do miłych polskich koleżanek z liceum SS. Urszulanek w Krakowie. Zachodu jest wiele. Trzeba wygładzić francuszczyznę, trzeba list przepisać, trzeba przeczytać go w klasie i wyjednać pozwolenie Siostry Przełożonej szkoły imienia „Matki Pana Naszego" na wysłanie listu. Aurora jest pełna zapału. Myśli o wymianie marek, wycinków z obrazkami krajobrazu, ubiorów, dzieł sztuki, wreszcie, kto wie, o wycieczce do Polski. Ma szesnaście lat. To jedna szkoła. Druga to liceum „Regina Maria". Tam interesuje się wymianą kółko Czerwonego Krzyża. Pani Dr. Valeria Bologa, lekarka szkolna, jest protektorką kółka. Prosi kierować listy na jej adres. Ulica Rachoveĭ-Tökölly, 26 — o ileby panienki, z jakiego liceum w Polsce zapragnęły nawiązać korespondencję międzyszkolną, lub międzyklasową, pojedyńcze klasy do klas, z Liceum Regina Maria. Wreszcie podaję swój adres i ja: Strada Cipariu 5.

Nie tylko Dr Valeria Bologa pragnie nawiązać kontakt z Polską dla swoich pupilek, ale Dr Valeriu Bologa, jej małżonek, wybitny historyk medycyny, profesor tutejszego uniwersytetu, poszukuje swych znajomych i kolegów — Dra Władysława Szumowskiego i Dra Tadeusza Bilikiewicza z Krakowa i profesorów Aleksandra Birkenmajera i Wrzoska z Krakowa i Poznania. Pragnie również dowiedzieć się o losie pp. Ponińskiego Alfreda, Stapińskiego Tadeusza i konsula Buzka, którzy przed wojną zyskali sobie — i Polsce — w Cluj wielu przyjaciół.

Bardzo miłe wspomnienia wywiózł z Polski znakomity poeta i filozof Lucjan Blaga; dramat jego „Manole" był wystawiony w 1926—27 przez dyr. Horzycę we Lwowie z dużym powodzeniem. Tutaj w Cluj był moment, kiedy w obu teatrach, rumuńskim i węgierskim, szła jego piękna sztuka „Krucjata dziecięca". Poeta szuka kontaktu z polską sceną i pragnie odszukać p. Horzycę.

Gazety tutejsze, zarówno rumuńskie, jak i węgierskie, spragnione są informacji o Polsce, fotografii, gotowych artykułów w językach niemieckim czy francuskim, o treści rzeczowej i bieżącej; młodzież uniwersytecka obu narodowości chciałaby widzieć jak najwięcej pism ilustrowanych polskich. Toż to by była okazja pokazania zniszczeń! Polski film zniszczeniowy, przekłady jak najprędzej dokonane na francuski choćby, jeśli nie na rumuński, literatury pamiętnikarskiej z obozów, stenogramy procesów Fischera i Hoessa zrobiłyby ogromne wrażenie. Poważni odczytowcy naukowi mieliby wdzięczną publiczność.

Dwa uniwersytety, dwa teatry, liczne szkoły, niezliczone stowarzyszenia, kilka pism, jakże wdzięczny teren dla działalności zdolnego, rzutkiego przedstawicielstwa, najmniejszej choćby, ale odpowiedniej placówki.

Nie ma na tutejszym terenie żadnej „sprawy repatriacji". Jest się tutaj tak daleko i tak dawno było się wyłączonym z ogólnego życia, że nawet nikt nie rozumie, że może tutaj być jakaś „sprawa". Nazwiska osób, wymienianych z tej okazji z goryczą i wyrzutem, nigdy do nas nie doszły i dowiadujemy się o nich dopiero od jesieni 1946, bo wtedy doszły tutaj pierwsze polskie gazety od wielu lat. Ale i teraz jest to jakby powieść bez początku i nikt się nią nie interesuje. Do kraju po prostu wyjechali ci, którzy mieli w Polsce dokąd zajechać, albo jechali wprost „na posadę", tutaj zaś nie mieli żadnych dalszych widoków egzystencji, a pozostali ci, którzy tam albo nikogo nie mają, albo mają rodzinę dalszą i w nędzy, albo stracili wszystko, a posady dostać nie mają nadziei.

Są wreszcie na różnych posadach tutaj Polacy uchodźcy z Czerniowiec, obywatele rumuńscy, których powoli odnajduję. Może uda się zebrać z nich taką grupkę, dla której by dali wagon repatriacyjny, bo w obecnych warunkach repatriacja samotna jest wykluczona. Eszelony wychodzą z Bukaresztu, a jazda do Bukaresztu stąd, to coś jak jazda na inny kontynent, niemożliwa dla osób bez odpowiednich dokumentów i

KSAWEREGO PRUSZYŃSKIEGO
„TRZYNAŚCIE OPOWIEŚCI"
„...gorący, żarliwy patriotyzm Pruszyńskiego jest jedną z najbardziej w oczy bijących cech tych opowiadań".
TYGODNIK POWSZECHNY
„...romantyczny historyzm Pruszyńskiego oddaje nam usługi nie wielkie"
KUŹNICA

kanie. Ludzie boją się widocznie opryszków albo Niemców. Nie dziwię się zresztą, choć mnie diabli biorą ze złości.

Na prawo wskos kościół. Nie mogę się dopukać do plebanii, przechodzimy więc mimo. Spoglądam na szare mury kościoła i na krzyż, pamiątkę jakiejś misji. Takie to polskie. Schodzimy w dół ku dość dużemu cmentarzowi, otoczonemu grubym murem. Wpada mi do głowy myśl, że tu można by schować pas i paczkę z markami. Wchodzę na cmentarz, łażę między grobami, szukam jakiejś kryjówki, ale nie mogę się zdecydować, bo wszystko zasypane śniegiem. Wracam do Buki, który czeka przy bramie. — Idziemy dalej wzdłuż muru. Po chwili potykamy się o jakieś pagórki. Co to? Krzyże drewniane, proste — i hełmy. Polskie stalowe hełmy wojskowe przymarznięte do ziemi. Ściska mnie coś za serce. To groby Polaków, poległych we wrześniu. Tu przecież były jedne z najcięższych walk, boje koło Kutna. Na wielu krzyżach są drewniane tabliczki. Niezgrabnie wypisane nazwiska i daty. „Wieczne odpoczywanie" — szepcę. Spojrzeliśmy sobie z Buką w oczy, bez słowa.

Oddalamy się od cmentarza. Zmierzamy ku najbliższej chacie. Znowu prosimy o wpuszczenie na chwilę, aby wypocząć. Energiczny głos kobiety nie zgadza się na to, proponuje nam ironicznie odpoczynek u sołtysa.

— Jaka to wieś? — pyta Buka.
— A to nie wiecie?
— Nie wiemy.
— A ilu was jest?
— Dwu.
— A to są Bednary.

Buka odetchnął. Zna te strony. Mimo odprawienia nas przez kobietę, poweseleliśmy trochę. Po chwili mijamy szosę niedaleko toru kolejowego i rampy. Ktoś jedzie na rowerze. — Padamy w rów i leżymy bez ruchu, czekając, aż przejedzie; potem idziemy dalej. Omijamy stację, która zostaje z prawej — i podchodzimy z boku do toru kolejowego. Jest już prawie całkiem jasno. Mija nas trzech mężczyzn, rozmawiających po polsku. Skręcają wzdłuż toru w kierunku wysokiej budki kolejowej. Przejeżdża długi pociąg towarowy. Jakiś przyzwoicie ubrany jegomość idzie szybkim krokiem w kierunku stacji. Czasem biegnie — widocznie śpieszy do pociągu. W ręce trzyma porządną, skórzaną teczkę.

— Spasiony. Pewnie Szwab — mruczy Buka.

— Możliwe.

— Nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. To dobry znak. Uważasz?

— Tak. Tamci trzej także przeszli obojętnie. Widocznie nie wyglądamy ekscentrycznie. Nie będziemy przykuwać niczyjej specjalnej uwagi.

Przechodzimy przez tor i idziemy w stronę domów. Dochodzimy do nich znowu od strony stodół. Słychać skrzypienie koła studziennego i ryk krów. Wieś wstaje do spóźnionego, zimowego życia. Dymy z kominów biją prosto w górę, na pogodę.

Z najbliższej stodoły słychać walenie cepów. Zachodzimy z boku przed otwarte wrota. Ze stodoły wychodzi chłop. Zaczynamy rozmowę od „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Odpowiada nam z dość miłym uśmiechem. Ośmieleni, prosimy go obcesowo o pozwolenie odpoczęcia w jego chacie i o coś do zjedzenia. Pyta: „coście za jedni", ze spojrzeniem, które mówi: „wiem, coście za jedni". Buka odpowiada, że uciekliśmy z niewoli.

Chłop rzuca ochotnie całą robotę i prowadzi nas do chaty. Żona jego, syn i parobek wstają zdziwieni — ale za chwilę po zamienieniu paru słów z gospodarzem i z nami, podejmują nas niezwykle gościnnie i serdecznie. I tu dopiero przekonałem się, jak olbrzymi talent ma Buka. Gęba mu się nie zamykała, trajlował bez przerwy. Bujał jak najęty, ale mądrze bujał i ujął sobie wszystkich. Kobiecie dał proch z Grobu Pana Jezusa i medalik święty z Jerozolimy, gospodarzowi zapalniczkę. Ja dałem chłopcu łańcuszek na scyzoryk — i... zapanowała ogólna serdeczność. Babina popłakała sobie, zaczęła użalać się nad naszym losem, przeklinać Niemców, modlić się — co jej nie przeszkadzało wcale w gotowaniu śniadania.

W międzyczasie, wymyłem sobie skaleczony palec i przewinąłem go — z pomocą kobiety — czystą szmatą. Dopuszczając do tajemnicy tylko gospodarza, wyczyściłem w zamkniętym na klucz pokoju pistolety, posługując się oliwą od maszyny do szycia.

W czasie obfitego śniadania doszedłem do nieodpartego wniosku, że Pan Bóg dał nam świetny apetyt, ale sytność zupełnie odebrał. Gospodyni z zadowoleniem patrzyła na znikające kromki chleba, barszcz, ziemniaki i kawałki mięsa ze świąt. „Podjedzcie se, chudziny" — rzekła z rozrzewnieniem.

Po śniadaniu chłop zaprowadził nas do stajni, gdzie na stryszku nad końmi rozścielone już były na słomie pierzyny i poduszki. Zdjąwszy buciki, rzuciliśmy się zaraz na posłanie, prosząc gospodarza o dawanie baczenia na wieś i okolicę.

Trudno mi opowiedzieć, jak cudownie się nam spało. W ogóle „kocham spać" — ale wtedy, w tej stajni, to była prawdziwa symfonia snu. Może znajdzie się kiedy jakiś zaspany kompozytor, który taką napisze. Będzie miał we mnie gorącego wielbiciela, pod warunkiem jednak, że główną melodią symfonii będzie „melodia do spania". Ciemno już było, gdyśmy się znowu znaleźli w izbie. Po kolacji przeszliśmy do drugiej, zimnej izby, na krótką rozmowę z gościnnym chłopem. Spisaliśmy na kartce marszrutę do Warszawy z ominięciem wszystkich wsi i osiedli, w których mieszkali Volksdeutsche. Zapytałem gospodarza, czy by nie zechciał mi przechować pasa, który już poprzednio wzbudził jego zainteresowanie. Oświadczyłem, że po kilku dniach zgłoszę się do niego lub przyślę kogoś z umówionym hasłem po odbiór. Chłop popatrzył na mnie poważnie i zwolna zapytał:

— Powiedzcie mi sumiennie, kto też wy jesteście?

...?

— No tak. Od samego przecie początku wiem, żeście wy nie z niewoli.

...?

— Już ja niejednemu niewolnikowi pomagał, ale takich jak wy jeszcze nie widziałem — tak porządnie ubranych i ozutych, z bronią, jakimś pasem na brzuchu...

— I z prochem z Grobu Świętego — wtrąciłem, śmiejąc się.

— I z prochem — skinął głową. Oparł brodę na spracowanej ręce i ciągnął dalej — Ja wam wierzę, żeście Polacy. Wiem, żeście dobrzy Polacy, lepsi ode mnie i od wielu. Robicie ważne rzeczy, to się widzi. Pomogę wam w czym będę mógł, ale — wybaczcie — powiedzcie, coście za jedni?

(c. d. n.)

ogromnej sumy pieniędzy. Ta cała proza życia nie jest podszyta żadną polityczną grą. Od 1940 roku żadna „władza" u nas nie była. Gdyby nawet ktoś przypadkiem tutaj dojechał, to z trudnością odnalazłby Polaków miejscowych, którzy się wzajem-

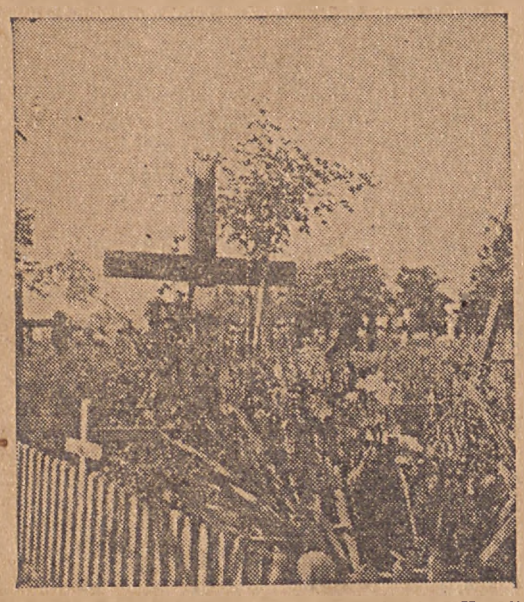

Grób mjra Romana Stadnickiego († 29. XII. 39) w Cluj (Kolozsvar). Na krzyżu orzełek z ceramiki

nie nie znają i zajęci są każdy swoją ciężką pracą, tak zajęci, że trudno jest nawet namówić ich, żeby czytali gazety z Polski, mój największy skarb. Jakże piękne wydały mi się te pisma, przysłane mi w październiku 1946 (po raz pierwszy od 1939 roku) przez zacnego Tuwima. „Tygodnik Powszechny", „Tygodnik Warszawski", „Odrodzenie", „Rzeczpospolita", „Życie Warszawy", „Wieś", „Kuźnica", „Stolica", „Przekrój" — co za bogactwo informacji, jacy doskonali pisarze, jaki śliczny papier i druk. Czytam, podziwiam, wielu rzeczy nie rozumiem wcale, ale biorę je jak są, a po przeczytaniu z największym pietyzmem rozsyłam po całej Rumunii, gdziekolwiek tylko są Polacy, o których coś wiem z tutejszego pisemka bukareszteńskiego. Trudno o lepszą propagandę repatriacji, jeśli w ogóle taka propaganda jest potrzebna — jak polskie pisma.

Na pismach tych również uczę polskiego kilku uczniów, umiejących już po rosyjsku. Wystarczy nauczyć takich czytać po polsku, żeby pchnąć ich na pół drogi znajomości języka. Są tak zachwyceni, kiedy nagle widzą, że rozumieją ten język polski, że sympatia ich do Polski staje się bezgraniczna. Ponieważ zaś Siedmiogrodzianin umie i lubi liczyć, od razu rozumie, że przy obliczeniu, ile go też w ciągu lat paru kosztowały lekcje rosyjskiego, musi od razu wziąć pod uwagę, że jednocześnie nauczył się niechcący części polskiego, i raduje się tym do tego stopnia, że zaczyna pytać, gdzie można dostać polskie samouczki i dykcjonarze, o czym naturalnie nikt go poinformować nie może. Ten zapał ostygnie na pewno kiedy ja wyjadę, ale może też do tego czasu zjawi się tutaj jakakolwiek placówka polska.

Oto, co pisze do mnie były uczeń mój, obecnie adwokat w Braszowie: „...Przynajmniej pod jednym względem stary Pani uczeń, może Pani dać najuroczystsze zapewnienie, oto Polska ma we mnie jak najstalszego wielbiciela. Muszę przyznać, że ilekroć słyszę lub czytam cokolwiek o Polsce, interesuję się tym tak, jakby to dotyczyło Rumunii. Może bezwiednie szukam w tym wspomnień o tym wszystkim, co wiem od Pani. W każdym razie to niewiele, co wiem, każe mi pragnąć wiedzieć jak najwięcej o tylu osobach i faktach, które doszły do mnie przez Panią. Gdyby nie miała Pani nic innego do roboty, namawiałbym Panią do napisania dla nas, wielbicieli ojczyzny Pani, „Przewodnika po Polsce", nie ordynarnego turystycznego, ale jakby zaproszenia, by kochano i znano duszę waszego kraju, takiego, jakim się musiał objawić w ciągu tylu wieków swej historii, przez swych mieszkańców i swą przyrodę. Musiałaby to być książka wyłącznie dla cudzoziemców i byłoby na pewno przyjemnie ją pisać..." Tyle ów młody Rumun, który w swym repertuarze muzycznym ma polskie kolędy, a w pokoju obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, obecnie zaś odświeża swą polszczyznę na książce Żywulskiej „Przeżyłam Oświęcim", ofiarowanej mu przeze mnie jako prezent ślubny.

A taką książkę — nowy przewodnik po Polsce, po jej stratach i ruinach, naprawdę warto by napisać,

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

poszukuje w Polsce najchętniej w Krakowie lub Poznaniu, posady sekretarki, urzędniczki, nauczycielki języków, w szpitalu, klasztorze, uniwersytecie, przedsiębiorstwie, szkole, fabryce lub prywatnie. Posiada praktykę referendarską, nauczycielską i pielęgniarską. Języki: rosyjski, angielski, francuski, niemiecki — perfekt, rumuński — nieźle, węgierski — słabo. Liczne referencje i świadectwa. Oferty: Rumunia, Cluj, Strada Cipariu 5, albo P. Krystyna Czerwijowska, Warszawa, Mokotowska 15, m. 46.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

EPOPEA SŁUŻEBNA

Nieznany świat, w którym się pogrążamy po pierwszych kartach powieści Jana Wł. Grabskiego *) jest dla czytelnika prawdziwą niespodzianką. Polacy i Wikingowie, intrygi o władanie na Bałtyku, ambicje królów, plemiona słowiańskie; ponure, knujące zdradę głowy, z których niedawno bez śladu spłynęła chrzcielna woda. Aż trudno nam uwierzyć, że uchował się taki szmat historii, obcej nam, a przecież naszej i tak urzekającej. Niezwykłość tych odległych wydarzeń w pierwszej chwili może obudzić nieufność, podejrzenia o płynącą z jakichś imperialistycznych wyrachowań maskaradę, w której płowowłosi myśliwi i rolnicy nadwiśla przedzierżgnęli się w zuchwałych żeglarzy. Ale przypisy, którymi autor opatrzył trzeci tom swej ogromnej powieści świadczą o rzetelnych poszukiwaniach historycznych, o latach wytężonej pracy. Pojmuję doskonale rozkosze tworzenia tej książki, Grabski, z nielicznych not kronikarskich, z ułomków sag wysławiających Bolesława, z nieomylną intuicją, odtwarza przed nami zapadłą w zapomnienie epokę. Z zazdrością myślę, że kreślił te księgi, przeżywając emocje Kolumba, wróżącego przeczuwane lądy z gałęzi niesionych na fali.

Ale gdy tylko oswoimy się z tytułami Jarlów i Konungów, gdy przejrzymy rysunek wielkiej sieci dynastycznej powoli oplatającej cesarza Niemiec — odnajdziemy znajome nam krajobrazy i twarze bohaterów. Ziemia Piastów sprzed tysiąclecia nie jest nam obcą. Saga Grabskiego przywraca nam smak ulubionej lektury — nakłada się na przypomnienie Kraszewskiego i Sienkiewicza. Znowu odnajdujemy miłości wielkie i niezłomne, spotkania rycerskie, łowy po borach odrzańskich, twarze bóstw wielogłowych świecą z dymnego płomienia pod sklepieniami gontyn. Śledzimy chytre zabiegi ostatnich, upartych pogan zanim ich wytnie miecz i przywali niepamięć. Podobni są cieniom wijącym się na próżno, aż budzą litość naiwnym wyrachowaniem. Wreszcie zastanowić nas musi żarliwość świeżo przygarniętych przez Kościół — Polaków, którym chrześcijaństwo pasuje jak zbroja, właśnie na ich miarę i potrzebę dziejową gotowana. Saga Grabskiego jeszcze raz odsłania przed nami wszystkie zalety najlepszych tradycji naszej prozy służebnej.

Epopea Grabskiego powstała w najcięższych latach okupacji (41—43) czas ten najlepiej jej rysunek tłumaczy. Klęska wrześniowa, jeszcze dotkliwszy, bo odbierający nadzieje upadek Francji, nie załamały autora, ale stały się bodźcem nowej twórczości, którą musimy uznać za prawdziwą walkę. Wbrew zagładzie odbudowuje Grabski wizję młodego królestwa, tężejącego wśród puszcz nad Odrą i Wisłą. Wróżebnie ukazuje nam przeszłość ziem, które dziś stały się naszą przyszłością. Przypomina, że losy nasze są najściślej związane z chrześcijaństwem i tylko naród bogonośca może zachować wiarę w swą niezniszczalność.

Szkieletem fabularnym epopei są dwie równolegle rozwijające się miłości —. siostry Bolesława, królowej Sigrydy i Olafa Tryggvasona, zdobywcy tronu norweskiego, oraz jej dworki Helgi i Jarla Bronisza, posła króla polskiego do ludów północy. Tragiczny romans królowej, zwycięsko przełamującej miłość zmysłową, odtrącającej kochanka, którego plany przejrzała, dla ratowania tronu nieletniemu synowi, przysłania miłość drugiej pary. Miłość Helgi i Bronisza zbudowana według starych, niezawodnych recept, pozwala czytelnikowi domyślać się szczęśliwego małżeństwa mimo coraz nowych przeszkód odgradzających kochanków. Bo czego tam nie ma! Są i zaślubiny pod przymusem, klasztor, porywania, przygody, które czytelnik pochłania jednym tchem, by wreszcie dobrnąć do cichego dworku w poznańskim, gdzie przeżywa miodowe miesiące młoda para.

Te dwa wątki miłosne snują się na tle knowań drapieżnych władców północnych, łączą się z dalekosiężnym planem króla Bolesława, zmierzającym do niezawisłości od cesarza niemieckiego i niemieckiej hierarchii kościelnej. Grabski opowiada nam o wieku bohaterskim, o latach szczęśliwych, gdy w trzysta mieczy obalało się trony, łupiło królestwa, gdy nawet śmierć nie straszyła, bo kupowano za nią sławę, do dziś dnia przekazywaną w sagach.

Wreszcie sprawy religijne, pozornie drugoplanowe, a właściwie, zwłaszcza w trzecim tomie, występujące centralnie. W epopei Grabskiego Polska przywarła do Kościoła jak okruch żelaza do magnesu. Naród nasz nosił w sobie przyrodzone dyspozycje, ułatwiające to zespolenie. Ale reszta plemion słowiańskich, o krwi zatrutej, odtrącających opiekuńcze ramię Kościoła jest skazana na zagładę, na krwawy chrzest pod mieczami margrafów niemieckich. Na tle tych brutalnych zmagań, gdzie rozszerzanie się obu mocarstw, Polski i Niemiec, przypomina karczunek żywego, ludzkiego boru, pojawia się epizodycznie postać świętego wygnańca, biskupa Wojciecha. Zmierza on z uporem ku męczeństwu. Cień świętego wielokrotnie zaważy na losach bohatera Sagi — Bronisza do autorytetu męczennika będzie się odwoływał w rozterkach duchowych. Nie jest ważna prawda historyczna, błahym jest spór, czy św. Wojciech był autorem „Bogurodzicy", nas pochłania urok jaki roztacza wokół siebie apo-

Władysław Jan Grabski

stoł miłości, ciągnący na północ, instynktem odnajdujący przez ofiarę krwi niebieską Ojczyznę. W tych czasach surowych, gdy za krew płaciło się krwią, a zemsta była tak oczywista jak broń u boku, św. Wojciech przewidując swą śmierć wymusza na przyjaciołach poniechanie zemsty, staje się drogowskazem nowych praw: miłosierdzia i przebaczenia. Najsugestywniejszy był obraz biskupa przywołany kawałkiem rzemienia, który zacisnęła w ręce jasnowidząca wróżka. Biskup pomijający kradzież pobłażliwym milczeniem, obdarza właściwie pamiątką po sobie chciwego sługę. Zwłoki męczennika, którego odepchnęły ojczyste Czechy stały się podwaliną niezależności politycznej i kościelnej Polski.

Sylweta Jarla Bronisza jest wycięta według starych patronów bohatera powieści awanturniczych, może nas razić mnóstwem „za". Jest on za dzielny, za odważny, za wierny, za czysty... Ale jakże wypoczywamy przy nim, w naszym wieku obnażającym całą nikczemność człowieka, jakże mocno tęsknimy za prawdziwym bohaterem. Dobrze jest pogodzić się z umownością charakteru i już nie lękać się o niego, móc na jego niezłomności rycerskiej polegać. Mieć pewność, że obali wszystkie przeszkody, że wytrwa i zwycięży. Jarl poseł do królów, strzegący pokoju ziemi Piastów. Królowa Sigrida szwedzka jest bardziej człowiecza i cielesna. Ona właściwie wysuwa się na plan pierwszy. Przenosi trwałość państwa nad własne szczęście. Dławi namiętną miłość do drapieżnego sąsiada, zyskuje sobie gorzki tytuł — Wspaniałej. Bronisz, któremu służba poselska nie pozwala śpieszyć na pomoc uprowadzonej narzeczonej, przechodzi łatwiej nad zwłoką. Ostatecznie błogosławieństwo św. Wojciecha działa jak balsam, ufa, że słowa świętego nie zawiodą go i nie omyli się. Władcza królowa i rycerz służący sprawie Piastów, zyskują ład wewnętrzny, poczucie siły i pewności; panowanie nad sobą staje się szkołą władania innymi.

Cały świat chrześcjański przeżywa przełom, zbliżający się rok tysiączny zapowiadany morem i klęskami, jest rokiem ostatecznego obrachunku, rokiem końca świata. Grabski roztacza te sugestie, ale giną one i rozpływają się w krzepie słowiańskiej, która nie dopuszcza do siebie myśli ostatecznych. Zresztą i tu niepokoje ucisza cień św. Wojciecha.

Obok świeżo zagarniętych chrześcijaństwem, oprócz żarliwych neofitów i tych, którym złocone krzyże brzękają na piersi koło swastyk Świątowida, odkrywa nam Grabski tajemnice świątyń pogańskich, dowcipne sztuczki wróżbiarzy i podwójną moralność kapłanów. Może nawet świat pogański został z gorliwości chrześcijańskiej przerysowany aż do karykatury. Bo przecież wśród pogan mogli się znaleźć jeszcze wierzący mocno i żyjący według przykazań dochowujący przyjaźni i gościnności. Dość trudno jest nam również pogodzić się z wyprawą Bronisza na Obotrytów, których wyrzyna śpiesząc z pomocą cesarzowi. Pewne wątpliwości budzi w nas natychmiast dokonująca się sprawiedliwość. Grabski przy tej okazji używając jako jej narzędzia Bronisza, oczyszcza go zarazem z zarzutów rabunku i gwałtów. Ma to swoje znaczenie dydaktyczne, wymiar kary nie zostaje odwleczony do dnia Sądu ostatecznego, ale jest zarazem uproszczeniem artystycznym. Jeżeli Bronisz przywozi łupy z Anglii, które zastąpią wiano odebrane narzeczonej, to podbiera szkatułę lichwiarzowi, więc właściwie nie krzywdzi, ale karze. Jeśli napadają na kupca, okazuje się, że jest on wiarołomcą, handlarzem niewolników, jeśli zabija rywala, czyni sprawiedliwie, gdyż ten złamał słowo i przyjaźń rycerską.

Z nadmiernej troski o moralną stronę dzieła płyną dalsze wyrzeczenia, umniejszające ekspresję zarysowanych obrazów. Świat Wikingów jest jak świat jastrzębi morskich czysty w swej okrutnej drapieżności. Proste instynkty sycą łatwo. Namiętności wstają jak zdębione konie. Rozlewają krew dla uciechy, twardzi dla każdej słabości, ale nadstawiający jednako szeroką pierś na ciosy. Grabski stonował gwałtowne barwy, uciszył burzliwe głosy. Nie przekracza też progu alkowy. W tysiąc stronicowej powieści niewiele mamy epizodów, które by oddawały prostacką dzikość tych czasów. Raz upił się brat Bronisza i zabłąkał z dziewczyną w lesie, no i jeszcze Chocian dyskutując, w braku argumentów odgryzł nos matrosowi. To chyba wszystko. Tej jędrności brakuje nam, tej mocy biologicznej, która, jak w naturze bezlitośnie tępi nieprzystosowanych do drapieżnego życia. Pokój Boży miało dopiero narzucić chrześcijaństwo. Ale wtedy było tylko olejem rozlanym na burzliwej fali pogaństwa.

Od chrześcijańskiej powściągliwości autora mięso wydarzeń traci krew, wielkie obrazy sztywnieją, w ascetyczny fresk. Tym mocniej ryją się w pamięci czytelnika momenty, w których sobie Grabski pofolgował. Widzimy wyraźnie Bolesława w łaźni, nagiego, płowowłosego olbrzyma, którego brzuch namaszczony odblaskiem płomienia trzęsie się od śmiechu, gdy wyłuskani z paradnych szat posłowie, rozparzeni, szpetni w swej nagości drżą pod niespodziewanymi chluśnięciami lodowatej wody. Jeśli cała wyprawa Bronisza do Anglii przechodzi bez większego wrażenia i ma pozory nieledwie retardacji — to w przeciwieństwie ostatnia bitwa morska ma swój niezapomniany smak, homeryckie upozowanie bohaterów. Zwłaszcza pożegnanie Sigridy ze zwłokami kochanka piękną, patetyczną klamrą zamyka sagę.

Osobnego omówienia wymagałyby sceny myśliwskie, polowania z sokołami, zimowe łowy na bobry, rogacze i niedźwiedzia. Tajniki łowieckie, wiedza o zwierzynie i jej zwyczajach zanika u nas, i choć polowania na grubego zwierza znamy jedynie z literatury, trafne słowo Grabskiego porusza nam żywiej krew, budzi atawistyczną tęsknotę za zmaganiem, gdzie już tylko odwaga, zręczność i siła rozstrzygają.

Powieść Grabskiego jest umiejętnie, bardzo oszczędnie archaizowana, co wzmaga jej komunikatywność. Nie natrafiamy na żadne opory, płyniemy z epicką falą narracji. Większość rozdziałów ma budowę zakończoną dramatycznymi pointami.

Pozornie konstrukcja całej epopei prosta i przejrzysta, wolna od wątków peryferycznych, została zachwiana w trzecim tomie przez wprowadzenie długich dyskusji o sprawach wiary. Wieczory zimowe skraca sobie młoda żona Bronisza rozmowami z chylącym się ku klasztorowi Bossutą. Rozważania o celu ostatecznym żywota, o grzechu i miłosierdziu Bożym. Nie wnoszą one nic nowego do akcji, raczej charakteryzują ciekawość neofitów spragnionych zgłębienia tajemnic wiary.

Może wielu czytelników pominie je, przerzuci, śledząc za wątkiem romansowym, ale niejeden zamyśli się, gdyż pytania jakie stawiali sobie świeżo nawróceni do dziś nie uległy zmianie. I my szukamy na nie odpowiedzi. Niepokoje nachodzą nas rzadko, pochłania nas doczesność, poganiejemy, tracąc z oczu ostateczne cele. Grabski, odważnie, narażając się na ataki, wyrzeka się barw zmysłowych rezygnuje z efektów czysto artystycznych, których możliwości zdławione tyle razy napotykamy w lekturze, całą uwagę skupia na apologii wiary, stając w pierwszym szeregu pisarzy Walczącego Kościoła.

*) Władysław Jan Grabski: SAGA O JARLU BRONISZU. T. I. ZRĘKOWINY W UPSALI. Nakł. Księg. Św. Wojciecha, Poznań 1946 Str. 343; T. II. ŚLADEM WIKINGÓW. Str. 413. T. III. ROK TYSIĘCZNY. Str. 175. Nakł. Wielkop. Księg. Wyd. Poznań 1946.

MŁODZIEŃCY

z powołaniem kapłańskim, pragnący poświęcić się pracy duszpasterskiej wśród Polonii zagranicznej, mogą się zgłaszać do odnośnych klas gimnazjalnych i licealnych

MAŁEGO SEMINARIUM ZAGRANICZNEGO w Poznaniu, ulica Lubrańskiego Nr. 1 a.

MATURZYŚCI LICEALNI mogą się zgłaszać do:

NOWICJATU SEMINARIUM ZAGRANICZNEGO W POZNANIU.

Adres jak wyżej. Na życzenie wysyła się warunki przyjęcia.

GORZYŃSKI I SZPINALSKI NA WAWELU

Cztery polskie kompozycje współczesne, wykonane przez orkiestrę Filharmonii na dziedzińcu arkadowym, to wyczyn nie lada! Zdzisław Górzyński sprostał temu zadaniu a Szpinalski, po zagranicznych sukcesach wykazał wspaniałą — jak zawsze — formę w Koncercie Szeligowskiego i w granych dodatkowo: Menuecie Paderewskiego i Impromptu Chopina.

Normalny skład orkiestry nie wypełnia brzmieniem wawelskiego dziedzińca. Słychać dźwięk np. oboju, a „tutti" — czyli gdy gra pełny skład orkiestry — gubi się w przestrzeni zamkowej.

Trzeba by pomnożyć, zwłaszcza instrumenty smyczkowe i obmyśleć lepsze tło dla estrady.

Co do programu, jestem zawsze za mieszaniem dzieł współczesnych z muzyką XVII i XVIII wieku. Niestety nie ma dotychczas tego zwyczaju w Polsce. Albo Czajkowski albo Palester zdaje się być hasłem naszych dyrekcji. Współczesnej muzyki zagranicznej też nie słyszymy. W ten sposób twórczość naszych „poszymanowszczaków" jest zawieszona w próżni rodzimej, nie konfrontowana z osiągnięciami Zachodu czy Wschodu.

Uwertura koncertowa Maklakiewicza jest jedną z najlepszych partytur tego kompozytora, który umie i zinstrumentować i zbudować kompozycję, gdy nie idzie na zbyt łatwe kompromisy z... samym sobą!

Koncert Szeligowskiego jest jedną z murowanych pozycji pianistycznych Szpinalskiego i zyskuje przy każdym następnym słyszeniu, zwłaszcza pierwsza część i środkowe, poetyczne *andante*.

II Symfonia Rudzińskiego, posiada niewątpliwie piękne, świadczące o dużym twórczym skupieniu *andante*. Natomiast ciągłość, plany i sam materiał muzyczny, z których kompozytor ten zbudował I część nie przekonują słuchacza przy pierwszej audycji. Końcowe „Vivo" jest bardziej zwarte i solidne. Słyszałem sarkania na nieprzystępność tej muzyki. Jej strona dźwiękowa, harmoniczna i nawet rysunkowa nie wydała mi się trudna i skomplikowana. Raczej cały klimat i następstwo, rozwój tej muzyki sprawia, że jest ona emocjonalnie obca słuchaczowi, który nie orientuje się o co chodzi tematycznie i rozwojowo. Allegro Rudzińskiego wydaje mi się zbyt jednobarwne.

„Pieśń o ziemi" Palestra jest muzyką baletową i Palestrem jakby „prosto od krowy". Wyraźne, proste, niewyszukane tematy, instrumentowane „na pewniaka" i efektownie. Utwór ten, pisany przed wojną, może pogodził wielu z tą „pełną ostów, kolców i piołunów" dziedziną — muzyką współczesną?

Z. Mc.

TYDZIEŃ PRASY POLSKIEJ

ARTYKUŁY OGÓLNE: Jerzy Braun: Francja a Polska, Tyg. War. 25; Michał Poradowski: Cywilizacja a kultura, j. w.; Jerzy Kiersi: O strukturze katolicyzmu, j. w.; K. Studentowicz: Samorząd społeczno-gospodarczy, j. w.

OŚWIATA I WYCHOWANIE: Ignacy Czuma: Warunki pracy K.U.L.-u, Tyg. War. 25; Wincenty Wąsik: Szkolnictwo rolnicze a kultura społeczeństwa wiejskiego, Miesięcznik ludowy 2—3, Edward Marzec: Słowo drukowane na wsi, j. w.; Mieczysław Jastrun: Głos niefachowca w sprawie programu nauczania literatury, Kuźnica 25.

HISTORIA I GEOGRAFIA: Tadeusz Esman: Bydgoszcz na tle wypadków 1846 roku, Arkona 4—5; Tadeusz Hołuj: Sprawa polska w Izbie Gmin (1830—1840), Kuźnica 25; Stefan Kieniewicz: Nowy sąd nad historią (A. Bocheński: „Dzieje głupoty w Polsce"), Dziś i Jutro 25.

ZIEMIE ODZYSKANE: Odra 25—26 numer poświęcony Szczecinowi i sprawom morskim.

WOJNA I OKUPACJA: D. de Parcent: „Le drame de Varsovie" (c .d.), Tyg. War. 25.

LITERATURA: Juliusz Kleiner: Stulecie „Króla-Ducha", Warszawa 8; Alfred Kowalkowski: Poezja Ziem Zachodnich, Arkona 4—5; Irena Sławińska: Próba eposu (J. Dobraczyński: „Najeźdźcy"), j. w.; Wilam Horzyca: „Wesele" — i Mr. Babbitt, j. w.; Włodzimierz Pietrzak: Refleksje nad twórczością Nałkowskiej, Dziś i Jutro 25; B. Ivor Evans: Tradycyjne elementy poezji angielskiej, Głos Anglii 25; Zbigniew Bieńkowski: „Cudzoziemiec" (Camusa), Odrodz. 25; Juliusz Krzyżanowski: Na grobie Makbeta, j. w.; Lech Budrecki: Uniłowski po latach, Kuźnica 25; Grzegorz Timofiejew: Żeromski i literatura rosyjska, Przegl. Socjalistyczny 6.

PLASTYKA: Władysław Strzemiński: Widzenie impresjonistów, Odrodzenie 25.

TEATR: Jarosław Iwaszkiewicz: Wspomnienie o Juliuszu Osterwie, Odrodzenie 25; Edward Csató: Podróż teatralna, Nowiny literackie 14; Jan Kreczmar: O krytyce teatralnej, j. w. Wanda Karczewska: W oczach widza, j. w. Stephen Williams: Królewska Akademia Sztuki Dramatycznej, Głos Anglii 25.

FILM: Tadeusz Peiper: 60 lat filmu francuskiego (z wystawy warszawskiej), Odrodz. 25; Stanisław Różewicz: Drogi filmu, Światło 3.

MUZYKA: Karol Stromenger: Montuszko, Poradnik Muzyczny 3; Marian i Jadwiga Sobiescy: Pieśń ludowa i jej problemy (III), j. w.; Witold Rudziński: Nauka o muzyce III. Co to jest rytm?, j. w.; Adam Rieger: Jak zapewnić naszym dzieciom właściwe wykształcenie muzyczne? (O zadaniach niższych szkół muzycznych), j. w.; Mieczysław Drobner: Instrumenty muzyczne: Skrzypce, j. w.

HISTORIA REDUTY

W związku z zamiarem opracowania dziejów teatru Reduta założonego i kierowanego przez Juliusza Osterwę wszyscy, którzy wiedzą coś o dziejach tego teatru proszeni są, aby spisali swoje wspomnienia i te, zarówno jak posiadane materiały i fotografie skierowali pod adresem: Matylda Osterwina, Kraków, ul. Pijarska 5, m. 3.

SPROSTOWANIE

W numerze 25/118 „Tygodnika Powszechnego" str. 6, szpalta 3, wiersz 19 od dołu, w artykule Mieczysława Kotlarczyka p. t. „Książę nieznany", zamiast „sympatycznie wyakcentowywany" winno być „systematycznie wyakcentowany".

JAN DĄBROWSKI

„DŁUGIE MORZE" I POMORZE

W związku z zainteresowaniem jakie budzi sprawa naszej przeszłości nad Bałtykiem, zwrócono się do mnie z zapytaniem, w jakiej mierze usprawiedliwiona jest dla morza Bałtyckiego nazwa „Długiego morza" i czy można ją uważać za pierwotną polską a może i słowiańską nazwę tego morza. Występuje ona, jak wiadomo, w jednym z najstarszych źródeł do dziejów Polski, w głównym dokumencie z lat 990—992, zawierającym poddanie się Mieszka I Stolicy Apostolskiej, a zwanym pospolicie od słów swego początku dokumentem „Dagome iudex". Pozwalam sobie dać tutaj na to pytanie odpowiedź w tym sensie, w jakim znaczenie „Długiego morza" określiłem przed rokiem w toku dyskusji, toczonej w gronie krakowskich specjalistów.

Jak wiadomo, wspomniany wyżej dokument określa granice Polski i zaznacza, że granice te zaczynają się *„a primo latere longum mare"*. Przyjęte dotychczas wśród badaczów naszych znaczenie i tłumaczenie tych słów brzmiało: „z pierwszego boku długie morze"... lub też „wielkie morze", gdyż przypuszczano, że nie tyle szło o oznaczenie długości co wielkości tego morza. Otóż tłumaczenie to wydaje mi się nietrafne, już nie tylko z tego powodu, że w takim znaczeniu nazwa brzmieć musiałaby *„mare longum"*, a nie *„longum mare"*.

Sądzę, że należy tu obrać inny punkt wyjścia. Tekst wspomniany pisany jest łaciną daleką od klasycznej z widocznym wpływem wykształcającego się wówczas języka włoskiego. Tu właśnie należy szukać rozwiązania trudności. Wiadomą jest rzeczą, że w języku włoskim wyrażenie takie jak *„Lungotevere"* w Rzymie lub *„Lungarno"* we Florencji nie oznaczają bynajmniej ani „długiego Tybru", ani „długiego Arno", ale pas ziemi lub ulicę, ciągnącą się wzdłuż Tybru, lub wzdłuż Arno w tym samym sensie jak mamy Powiśle w Krakowie lub w Warszawie. Łatwo też sprawdzić, że na Lido weneckim mamy także aleję *„Lungomare"*, a więc nasze *„longum mare"*. *„Lungo"* oznacza tu zatem „wzdłuż" i w tym znaczeniu użył tego pisarz aktu „Dagome iudex". Nie ulega dla mnie wątpliwości, że tekst tego aktu miał dla niego następujący sens: iż granica Polski zaczyna się „z pierwszego boku wzdłuż morza..." Tak by to rozumiał włoski łacinnik. Inaczej zapewne wysławiał się po polsku Polak, który tłumaczył to pisarzowi łacińskiemu. Mówił on niewątpliwie krótko „Pomorze" i wyjaśniał, że oznacza to kraj, ciągnący się wzdłuż morza jak Powiśle nad Wisłą, które użyte być może u nas do dziś nie tylko w sensie ulicy, czy dzielnicy miasta, ale całej połaci kraju. Sądzę tedy, że można w tekście aktu „Dagome iudex" czytać, iż granica Polski biegnie „z pierwszego boku wzdłuż morza", lub też, że jest nią „z pierwszego boku Pomorze", ale nigdy długie czy wielkie morze.

LIST DO DYREKTORA TEATRÓW KRAKOWSKICH

Kochany Panie Dyrektorze!

Jestem przekonany, że nasza stara znajomość i przyjaźń nie ucierpią, jeśli napiszę publicznie to, co mógłbym powiedzieć prywatnie.

Przede wszystkim winszuję Panu szczerze i serdecznie. Jako dyrektor Miejskich teatrów krakowskich obejmuje Pan dziedzictwo zaszczytne. Spuściznę po Tadeuszu Pawlikowskim i po tych jego następcach, którzy — aktorzy czy też ludzie teatru — trwale związali swoje nazwiska z dziejami świetnej sceny krakowskiej.

Ma Pan, Kochany Dyrektorze, wszystkie dane aby być dobrym kierownikiem scen krakowskich: wybitny talent organizacyjny, czujną zaprzątnięty [illegible] z publicznością, którą pozyskał Pan rozumnym eklektyzmem i brakiem drażniących pryncypializmów, niepoślednią znajomość wielostronnej gospodarki teatru. Będzie Pan więc umiał oprzeć ją na gruncie solidnym, unikać mierzenia sił wedle zamiarów, stronić od koncepcji nierealnych grożących pustą widownią i wiecznie niezadowolonym aktorem. Problem kierowania życiem artystycznym i administracją kilku scen nie spiętrzy zapewne przed Panem trudności, z którymi nie umiałbyś sobie poradzić.

Zastanie Pan jednak w Krakowie pewne szczególne warunki, będące anomalią domagającą się zasadniczej reformy. Ich krótkie omówienie jest celem niniejszego listu.

Pierwszym z nich jest pospieszna i nieprzemyślana decyzja dotycząca teatru im. Słowackiego. Powołując się na przykład Komedii Francuskiej, postanowiono wystawiać na tej scenie wyłącznie utwory autorów nie żyjących. Jednak to co miało pewien sens w Paryżu, może być absurdem w Krakowie, zwłaszcza jeśli jest nieporównanie bardziej radykalne. Władze państwowych teatrów francuskich pozwoliły wystawiać w Domu Moliera jedynie te utwory sceniczne, które mają za sobą najmniej 10-letnią przestrzeń czasu licząc od prapremiery. Wprowadzając w życie tę decyzję, zubożającą wprawdzie pierwszy teatr francuski o ów ujmujący wdzięk, kryjący się w pokazywaniu sztuk Cocteau lub Sarmenta na przemian z dziełami Moliera lub Racine'a, podkreślono — nie wiadomo czy potrzebnie — wyjątkową rangę tej sceny, dozwalając na niej grać tylko te dzieła, które mają za sobą próbę czasu uniezależniającą ich wartość od chwilowego nastroju lub upodobań publiczności. Nie należy zapominać również o tym, że Komedia Francuska pracuje w otoczeniu 30-tu innych teatrów paryskich, kultywujących wszystkie odcienie sztuki dramaturgicznej i komediowej.

Mimo woli przypomina się przysłowie o żabie, która podstawia nogę do okucia. Chcąc podnieść rangę teatru im. Słowackiego — raczej go ośmieszono. Proszę mnie dobrze zrozumieć Dyrektorze: kocham gorąco tę scenę, nie tylko ze względu na wspomnienia młodości, lecz także i to przede wszystkim dlatego, że to ona grała siebie samą w „Wyzwoleniu", dlatego, że ilekroć nocą po przedstawieniu przechodziłem przez jej deski, gdy „Na Świętym Krzyżu północ biła", czułem się raczej w nastroju świątyni niż w atmosferze przybytku Melpomeny. Ta czcigodna scena jest jednak sceną młodą i nie wolno jej pozbawiać pokarmu dla współczesnych. Gdyby posłużono się choćby metodą zastosowaną przez Francję, niejedna sztuka Szaniawskiego lub Morstina mogłaby się ukazać przy Placu św. Ducha, nie mówiąc już o dziełach wybitnych autorów zagranicznych.

Mauzoleum sztuk nieboszczyków... i to nie „przeważnie" lecz — niestety — „wyłącznie". Kochany Dyrektorze, niechże Pan czym prędzej złoży to *ad acta* chybionych pomysłów mumifikacyjnych.

Druga kwestia to rola kierowników literackich scen miejskich, czy też naczelnego dramaturga. Na całym świecie rozumie się ją jednakowo. W Krakowie panowało ostatnio zupełne pomieszanie pojęć. Dramaturgiem wielkiego teatru lub grupy teatrów w dużych miastach powinien być znakomity znawca teatru i jego literatury lub wybitny autor dramatyczny, człowiek fachu teatralnego w każdym calu. Zadania jego są, przynajmniej u nas, dwojakie: pomoc w układaniu repertuaru, który musi być oparty na możliwościach zespołu aktorskiego i życzliwa rada dla młodych autorów, przynoszących do teatru swe sztuki często wartościowe lecz scenicznie niedojrzałe — oraz umiejętne i delikatne wskazówki jak poprawić sztukę, by w świetle kinkietów mogła ożyć. Nie zrobi tego najbardziej utalentowany literat, o ile nie jest człowiekiem teatru. Zaś odpowiedzialność za jego błędy ponosi ostatecznie dyrektor. Cieszę się, Kochany Panie, że wybrał go Pan sobie sam, w osobie swego katowickiego dramaturga L. H. Morstina, świetnego pisarza scenicznego, autora „Dzikiej Pszczoły" i „Obrony Ksantypy" należących do czołowych naszych pozycji teatralnych okresu międzywojennego.

Wreszcie ostatnia ale i najdelikatniejsza kwestia dotycząca roli teatru w życiu duchowym społeczeństwa. Nie sądzę aby definicja Szekspirowska straciła w dzisiejszych czasach na ścisłości i precyzji: „teatru przeznaczeniem jak dawniej tak i teraz, było i jest, służyć niejako za zwierciadło naturze, pokazywać cnocie własne jej rysy, złości żywy jej obraz, a światu i duchowi wieku ich postać i piękno". Dyboski pisze o tym: „Te nieśmiertelne słowa nigdy nie przestaną się rozlegać... ilekroć gdziekolwiek jest pora dać uroczyste świadectwo społecznej misji teatru. Nigdzie może w literaturze nie wskazano tak szczęśliwie złotej drogi pośredniej między niedorzeczną ostatecznością hasła „sztuka dla sztuki" a nieartystycznym wprzęganiem pegaza w służbę określonych tendencji moralnych i społecznych". Zadaniem teatru jest odzwierciedlać życie duchowe narodu i ludzkość w całym bogactwie jego nastrojów, rejestrować barwę i intensywność zarówno prądów literackich, jak i innych, zmierzających do zmiany obrazu rzeczywistości przez zmianę ogniskowej zwierciadła teatru. Kierownik teatru może wpływać na wyrobienie smaku publiczności, ale także powinien baczyć aby tendencje pedagogiczne jego sceny nie przejawiały się w postaci szkółki elementarnej lub nawet przedszkola. Jeśli to ma się kiedyś stać, niechże się przynajmniej nie stanie za Pańskiej dyrekcji.

Ściskam dłoń serdecznie

Kazimierz Piotrowski

ŚWIECE KOŚCIELNE
za odpadki od świec i wszelkie woski wymienia
KROT. FABRYKA WYR. WOSKOWYCH
Krotoszyn Wlkp., ulica Sienkiewicza 2a

Pryw. Męskie LICEUM I GIMNAZJUM
IM. ŚW. STANISŁAWA KOSTKI W KIELCACH
Kurii Diecezjalnej Kieleckiej — przyjmuje ZAPISY na nowy rok szkolny. — Gmach szkolny z internatem pięknie położony za miastem. — Zgłoszenia do Dyrekcji:
KIELCE, UL. ŹRÓDŁOWA L. 17

PRZEGLĄD RELIGIJNY

KONGRES MARIAŃSKI W OTTAWIE. — W dniu 20. VI. został otwarty Międzynarodowy Kongres Mariański w Ottawie (Kanada) pod przewodnictwem miejscowego arcybiskupa kard. Mc Guinan, legata papieskiego. W liście do niego Ojciec św. podniósł m. in. rolę kultu Marii jako środka do prawdziwej, duchowej wolności; ideał Marii P. bowiem wyzwala człowieka z kłamstwa i grzechu. Na otwarcie kongresu Papież wygłosił przemówienie transmitowane przez radio. Pius XII dał w nim wyraz radości, że duchem może uczestniczyć w kongresie... Krzyż — mówił Papież — wyprzedził Marię w Kanadzie. trzeba było bohaterstwa i męczeństwa, by się kult Marii mógł w tym kraju rozwinąć — kult, którego szczególny wyraz stanowi znakomite zgromadzenie zakonne Oblatów Marii Niepokalanej, założone przez wielkiego biskupa Mazinot, a działające w najtwardszych warunkach północnej Kanady i okolic podbiegunowych.

PIERWSZY „INSTYTUT ŚWIECKI". — Nowe czasy stwarzają nowe potrzeby i nowe formy dla ich zaspokojenia. Papież Pius XII osobnym dekretem zezwolił na zakładanie stowarzyszeń ludzi świeckich o charakterze półzakonnym, tzw. instytutów świeckich. Mają one łączyć ludzi świeckich do specjalnych zadań apostolskich. Obecnie prasa donosi, że został przez władze kościelne zarejestrowany pierwszy tego rodzaju instytut. Jest nim stowarzyszenie studentów w Madrycie pracujące w środowisku robotniczym.

Z DZIENNIKARZA — BISKUPEM. — Przed kilkunastu laty znane było w świecie prasy nazwisko — Angelo Herrera, redaktora dziennika „El Debate" w Madrycie. Był to dziennikarz pierwszej klasy i wpływowy. Herrera był równocześnie działaczem w Akcji Katolickiej, zwłaszcza w organizacjach robotniczych. Wojna domowa wywołała przewrót w jego życiu. Mając już 50 lat wstąpił do seminarium duchownego. Wyświęcony na kapłana w 54 r. życia, pracował w duszpasterstwie i w bieżącym roku, mając lat 61 został mianowany biskupem Malagi.

SŁOWACY ZA „WOLNOŚCIĄ NAUCZANIA". Pisaliśmy już o proteście katolików czeskich przeciw nowemu projektowi ustroju szkolnego, który polega na monopolizacji szkolnictwa przez państwo i likwidacji wszelkiej wolnej szkoły. Ostatnio prasa słowacka donosi, że protesty zanosi i katolicki obóz na Słowaczyźnie. Przeciw projektowi rządowemu wypowiedziały się tu: partia demokratyczna (która przy wyborach otrzymała 62% głosów) i partia Wolności (5%). Nadto — także Rada Studentów słowackich (do której należą delegaci młodzieży Uniwersytetu Politechniki i Wyższej Szkoły Handlowej).

KONGRES PRASKI I KATOLICY

Pod powyższym tytułem zamieściliśmy w numerze 117 „Tygodnika Powsz." siedmiowierszową notatkę, że katolicka młodzież nie weźmie udziału w „festiwalu młodzieży", który w lecie bież. roku w Pradze urządza „Światowa Federacja Młodzieży Demokratycznej", a to „ze względu na komunistyczny charakter wymienionej Federacji".

„Polski Komitet Festiwalowy organizacji młodzieżowych" w Warszawie nadesłał nam obszerne „sprostowanie", którego ze względu na jego rozmiary nie możemy zamieścić w całości, natomiast przytoczymy najważniejsze jego argumenty.

Pismo „P. K. F." podkreśla, że do „Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej" należą takie „organizacje młodzieży chrześcijańskiej" jak: „Student Christian Movement" (Anglia), „Student Christian Movement" (Kanada). „Zrzeszenie Zawodowe Y.W.C.A." (USA) i „Christian Unitarian Jonth" (USA)... W związku z tym oświadczamy: nie znamy bliżej tych organizacyj, ale to wiemy, że nie są to katolickie organizacje.

Pismo „P. K. F." dalej wylicza 3 osoby (Paury James, Elsa Grares i pastor Joussequin) z zarządu Federacji jako reprezentujące „chrześcijańską" młodzież. Nadto wymienia szereg pastorów protestanckich, którzy biorą udział w pracach Światowej Federacji... Są to jednak sami członkowie protestanckich stowarzyszeń, a pastorowie oczywiście nie mają nic wspólnego z katolicyzmem.

Wreszcie pismo „P. K. F." cytuje obszerne ustępy ze wstępu do statutu „Światowej Federacji M. D." Znajdujemy w nich takie wyrazy, jak: pokój, wolność, demokracja, niepodległość i równość. Od siebie zaś „P. K. F." zaznacza, że w czasie festiwalu będą w Pradze odprawione nabożeństwa „w kościołach katolickich i innych świątyniach".

Zamieszczając lojalnie te wyjaśnienia, musimy stwierdzić, że „P. K. F." nie zdołał dowieść, że katolickie organizacje młodzieży należą do „S. F. M. D.", według zaś naszych wiadomości stosunek katolickiej młodzieży do tej Federacji jest zdecydowanie negatywny, zwłaszcza po rokowaniach, które katolicka organizacja młodzieży w Kanadzie przeprowadziła z władzami „S. F. M. D."

REKOLEKCJE ZAMKNIĘTE
w Domu Rekolekcyjnym
Księży Jezuitów w Dziedzicach
Dla profesorów wyższych uczelni
od 16 lipca do 20 lipca
Dla Kapłanów: od 21 lipca do 25 lipca
Dla Sodalisek: (głównie mężatek)
od 27 lipca do 31 lipca
Dla Sodalisek (Nauczycielek):
od 21 sierpnia do 25 sierpnia
i od 26 sierpnia do 30 sierpnia

Ś. † p.

Dr WITOLD BIAŁYNIA CHOŁODECKI

Lwowianin, adwokat, b. dyrektor Lwowskiego i Warszawskiego Oddziału Towarz. Ubezpieczeń „VESTA", b. rotmistrz rezerwy W. P., b. radny miasta Lwowa,

zmarł po dłuższej chorobie dnia 5 czerwca 1947 roku w 71-szym roku życia w Drozdowie, pow. Kołobrzeg.

Odszedł w zaświaty gorący Polak, najlepszy Mąż i dobry człowiek.

Krewnych, Przyjaciół i Znajomych upraszają o modlitwę za Śp. Zmarłego — pogrążeni w smutku

Żona i Rodzina.

W SPRAWIE REPARACJI

Należę niestety do tych, którzy wypełniali formularze strat wojennych. Przelałem przy tym sporo atramentu — i nic. Ostatecznie doczekawszy się pokoju można by z niejednego zrezygnować. Ale dlaczego tylko obywatel musi stale z czegoś rezygnować? A o odszkodowaniach dla obywateli z wyjątkiem co szczęśliwszych repatriantów o ile mi wiadomo jak na razie głucho. Natomiast głośno jest o sprzedaży mienia poniemieckiego przez państwo po cenach wcale zresztą i nie wiadomo dlaczego nie niskich. Tymczasem o pieniądz coraz trudniej. Czy więc nie można by przynajmniej części zagadnienia reparacji rozwiązać w ten sposób, aby ekwiwalent strat wojennych obywateli dać w ruchomościach poniemieckich i w ten sprytny sposób również wpłynąć odgórnie na obniżenie drożyzny oraz zapobiec spekulacji wynikającej z chęci posiadania kilku gratów więcej. Niestety Urzędy Likwidacyjne nie pytają wcale czy ktoś coś stracił np. w Warszawie i każą sobie płacić — przeważnie słono. A pono walczymy z drożyzną.

Adam Wielogórski

PIEPRZYK

W numerze bieżącym drukujemy na pierwszej stronie reportaż przychodni chorób wenerycznych. Stan zdrowia w Polsce jest przerażający. Podobno mamy około 3 milionów chorych, t. j. co ósmy człowiek jest zarażony. Dziś o asceze i wstrzemięźliwość wołają lekarze. Trzeba zdać sobie sprawę, że pornografia jest jednym z czynników, który przyczynia się do szerzenia się klęski.

114 numer „Przekroju" przynosi zdjęcie półnagiej kobiety z podkreśleniem (niby osłaniającym) szczegółów anatomicznych. Podpis pod ilustracją brzmi jak następuje:

„Niejaka miss Bernice Rubens, nauczycielka historii w jednej ze szkół średnich w Anglii, wpadła na interesujący pomysł wykorzystania szkolnych ferii letnich. Zaangażowała się mianowicie *do pewnego londyńskiego teatru, gdzie* w sztuce „Salome" Oskara Wilde tańczy „taniec siedmiu welonów". Taniec ów polega na obnażaniu się tancerki aż do granic „dozwolonych przez Lorda Majora Londynu", a sądząc po zdjęciu, należy wnosić, że miss Rubens pokazuje widzom ciało pedagogiczne dużej klasy. — Pomysł jej, łączący umiejętnie przyjemność z zarobkowaniem w godzinach pozaszkolnych, godny jest uwagi. Przeto zwracamy nań uwagę naszym młodym nauczycielkom. Oczywiście winny zaczynać od tańczenia przed radą szkolną, aby zostało komisyjnie stwierdzone, czy mają co pokazywać dla dobra sztuki i oświaty".

„Przekrój" ma podobno 200.000 nakładu. Czytają go najszersze warstwy, czyta go masowo młodzież. Co robi „Przekrój"? Oto budzi w młodzieży męskiej wulgarne skojarzenia w stosunku do nauczycielek. Dla redakcji jest to zapewne t. zw. „pieprzyk", mający robić kasę. Czas skończyć z tym „pieprzykiem", który jest demoralizowaniem młodzieży.

BISKUP KOWALSKI
»REGINA CLERI«
Rozważania dla Kapłanów
Stron 134 *Cena 190,— zł.*
Wysyła za zaliczeniem:
WYDAWNICTWO SEMINARIUM ZAGRANICZNEGO
POZNAŃ, ULICA LUBRAŃSKIEGO L. 1a

PAŃSTWOWE ŻEŃSKIE LICEUM
GOSPODARSTWA WIEJSKIEGO W KOŚCIELCU KUJAWSKIM
powiat INOWROCŁAW (Pomorze)
przyjmuje ZAPISY na rok szkolny 1947/48.
Warunki przyjęcia: mała matura (4 kl. gimnaz.), wiek najmniej 16 lat, zdrowie. Nauka bezpłatna. Internat na miejscu. Egzaminy dla nowowstępujących 9 i 10 września 1947 r. Dojazd koleją do stacji Kościelec Kujawski (6 km od Inowrocławia).

KTO BY wiedział o miejscu zamieszkania i o losie **ALEKSANDRA CZASZNICKIEGO**, ostatnio z Lachowicz koło Baranowicz, proszony jest o powiadomienie na adres:
RADOM, ULICA 1905-GO ROKU NR. 26
Wiktoria Czasznicka.

PIOTR WÓJTOWICZ, lat 80,
wydalił się z Miechowa 10 maja 1947 r., bez dokumentów osobistych, cierpiący na zanik pamięci i mowy, ubrany: czarna marynarka, wysokie buty, kapelusz popielaty, wysoki, pochylony. — Kto by wiedział o miejscu jego pobytu, proszony jest o łaskawe podanie wiadomości: MIECHÓW, ULICA BEMA 2, WÓJCIK JÓZEF.

BEZ OGRÓDEK

Będziemy piętnowali każdy przejaw pornografii w prasie. Społeczeństwo samo musi zmusić redaktorów do zaprzestania pornografii.

kjw.

LEKKA PRZESADA

Pewnych symbolów nie należy nadużywać. Nie wolno używać godła państwowego — Orła — do permanentnego dekorowania wystaw sklepowych, grać przy byle okazji albo i bez niej Hymnu Państwowego (zwrócił już na to ostatnio uwagę w swoim „podwórku" Kisiel), przy lada okazji dekorować domy chorągwiami o barwach narodowych.

Trudno się też zgodzić z poniższym apelem, jaki ukazał się w ub. tygodniu w prasie krakowskiej:

„Celem uświetnienia starodawnej tradycji „lajkonika" — wznowionego obecnie po siedmioletniej przerwie, Komitet Obywatelski „Dni Krakowa" uprasza P. T. właścicieli realności o przybranie domów chorągwiami o barwach państwowych i miejs[illegible] na szlaku pochodu „lajkonika" w dniu 12 b.[illegible] tj. w ulicach: Tadeusza Kościuszki, Zwierzyn[illegible]ckiej, Franciszkańskiej, Placu WW. Świętych, J[illegible]ackiej i na Rynku Głównym".

Obchód, a raczej występ „Lajkonika" na ulicach naszego miasta jest naprawdę miłą i godną kultywowania tradycją. Bawi i budzi miłe wspomnienia wśród starszych mieszkańców miasta, raduje młodzież, cieszy turystów swoich i obcych. Ściąga nawet — jak ostatnio — dziesiątki tysięcy widzów, skuteczniej niż niejedna oficjalna uroczystość. Ale „Lajkonik" to trochę za mało na flagowanie miasta i trasy „pochodu" chorągwiami o barwach narodowych, a nawet miejskich. Harce przybranego „tatara" nie omijającego żadnej knajpy po drodze „pochodu" — w cieniu wywieszonych dla uświetnienia jego występu chorągwi państwowych — to za dużo mimowolnej humorystyki.

Michał Jast.

Pod włos...

W mizernej, zabiedzonej wioseczce podkarpackiej rozmawiam z jednym z jej mieszkańców, który nie mogąc wraz z rodziną wyżyć z kawałka kamienistego gruntu, pracuje jako robotnik na kolei.

— Ile pan ma pensji na kolei? — pytam.

— Do dwóch tysięcy — odpowiada po pewnym namyśle.

— To mało! — mówię.

— Ale mamy jeszcze premię!

— Premię?

— Tak — kto wyrobił dziennie normę przedwojenną, 5 podkładów, ten dostawał premię, 100 złotych za dniówkę.

— To dużo — mówię (sam w to nie wierząc).

— No tak, ale ostatnio premię nam zredukowali proporcjonalnie (?!). Obecnie z premii można wyrobić ze 600 złotych miesięcznie.

— To mało — mówię.

— No, ale jest jeszcze dodatek stołówkowy — ponieważ nie mamy stołówki, więc dostajemy zamiast tego 20 zł. dziennie.

— To nie dużo — mówię.

— No tak, ale mamy jeszcze dodatek rodzinny — po 200 zł. od głowy.

— To dużo — mówię. Pan ma przecież pięć osób rodziny.

— No tak, ale od wszystkiego potrącają nam procent na ubezpieczalnię i fundusz emerytalny.

— No więc ileż zarabia pan naprawdę?! — pytam wreszcie zrozpaczony.

Góral myśli długo, długo, porusza ustami, drapie się w głowę, liczy na palcach.

— Tak zupełnie na pewno nie mogę powiedzieć — mówi wreszcie — ale będzie ze 3.500.

Zapytuję Was uroczyście: po co to całe zawracanie głowy i „kręcenie gitary"?! Czyż nieszczęsny, uchwycony w żelazne tryby biurokracji „szary człowiek" nie może nawet wiedzieć, ile zarabia? Weźmy rzecz na zdrowy rozum. Czy Państwo nie może ustalić w budżecie, że płaci robotnikom tyle a tyle, a na różne fundusze tyle a tyle? Po cóż te chińskie ceremonie i kombinacje? Czy po to, aby falangi również mizernych urzędników miały co robić, wypisując po całych dniach piętrowo nonsensowne tabele i listy płac?!

*

Zapragnąłem wyjechać do Pragi. Oczywiście — trzeba złożyć w tym celu całą kolekcję papierów. Między innymi — poświadczenie obywatelstwa. Można służyć w wojsku, głosować, płacić podatki, być urzędnikiem państwowym, nawet ministrem — mimo to nie jest się jeszcze obywatelem. Obywatelem zostaje się dopiero po otrzymaniu poświadczenia obywatelstwa. A poświadczenie otrzymać można — jeśli łaska — po dostarczeniu szeregu najrozmaitszych gatunków papieru. Naipierw — metryka, co dla Warszawiaka przedstawia sporą trudność. A więc — dwóch świadków „poświadczonych" — „korowody" ze świadkami zabiorą ci dobre parę dni. Potem poświadczenie zamieszkania — to na szczęście otrzymuje się szybko (tylko jeden dzień stracony). Wreszcie — świadectwo moralności. To ostatnie wystawia komisariat milicji, jeśli mieszkało się na jednym miejscu parę lat. Jeśli nie — komisariat musi dopiero przeprowadzić na twój temat „wywiad". Na „wywiad" taki czekasz z dziesięć dni, bo komisariaty są zawalone pracą. Wreszcie — pewnego dnia, gdy leżę jeszcze w łóżku, zjawia się u mnie młodziutki, sympatyczny milicjant z pliką papierów w ręku.

— Przyszedłem na wywiad — mówi.

— Doskonale — mówię.

— Zawód pana?

— Muzyk — mówię (może to pójdzie gładziej). Oczy młodzieńca zabłysły.

— Muzyk?! A w tej niemieckiej Filharmonii, co tu była za czasów okupacji, to pan nie grał?

— Nie grałem, mówię, bo po pierwsze nie byłem w Krakowie, ale w Warszawie, po drugie nie jestem muzykiem orkiestrowym, a po trzecie, choćbym nawet grał, to przecież członkowie orkiestry Filharmonii GG już dawno zostali zweryfikowani.

Oczy młodzieńca zabłysły jeszcze silniej.

— Ale w Warszawie pan grał w niemieckiej Filharmonii?

— Nie grałem, mówię, bo tam takowej nie było. A gdyby nawet była to: po pierwsze... itd

Rozmowa w tym duchu prowadzona trwa dobry kwadrans, przy czym odznacza się idealną gołosłownością: ja absolutnie niczym swoich zeznań nie udowadniam, przedstawiciel władzy żadnych dowodów nie wymaga. Wreszcie, po kwadransie — uznał mnie za moralnego. Dlaczego? — nie wiem — widocznie miał intuicję. Na zaświadczenie — oczywiście — trzeba było jeszcze parę dni poczekać.

Zebrawszy po trzech tygodniach wszelkie papiery, składam je gdzie należy. Każą mi przyjść za pięć dni. Przychodzę, czekam trzy godziny w ogonie — okazuje się, że jeszcze nie ma. Każą mi przyjść za trzy dni. Przychodzę — okazuje się, że to sobota, a w soboty nie wydają. Przychodzę za dwa dni, czekam cztery godziny, wreszcie — poświadczenie obywatelstwa dostaję. Proponuję urzędniczce, aby dała mi kilka kopii — ona odmawia. Jeśli więc poświadczenie będzie mi jeszcze kiedyś potrzebne — trzeba zaczynać całą rzecz od początku. Wychodzę z urzędu i tarzam się po klombach gryząc kwiaty. Ale nie znacie mnie jeszcze: niedoczekanie! Komunikuję uprzejmie P. T. Odnośnym Władzom i wszem wobec, że ostatni raz byłem legalistą, obecnie schodzę do podziemia. Gdy następnym razem zapragnę pojechać do Pragi, spakuję w plecak tysiąc amerykańskich papierosów i trzy kilo słoniny, pojadę do Zakopanego, przez Liliowe czy Międzyguszowiecką [illegible]tanę się na czeską stronę, w Szczyrbie [illegible] w pociąg i — nie będąc obywatelem — pojadę do Pragi. Wrócę tą samą drogą. A jeśli zechcę udać się do Paryża — zaproszę na wódkę znajomych kolejarzy, którzy zabiorą mnie jako bagaż w skrzyni. W Paryżu każę się odwieźć do nowego attaché kulturalnego polskiej ambasady, Jerzego Zagórskiego, wyjdę ze skrzyni i powiem: macie mnie, róbcie ze mną co chcecie, nie mam papierów, nie mam paszportu, nie mam obywatelstwa, ale istnieję: myślę więc jestem!

*

Biurokracja była i jest ulubionym tematem wszelkich satyryków, od Diderota do Zoszczenki. Z zasady unikam tematów łatwych, jak Urząd Mieszkaniowy, Film Polski, teściowa czy Mussolini, pozostawiając je wybitnym naszym „satyrykom". Ale w tym wypadku robię wyjątek: biurokracja jest tematem wiecznym, jest chorobą społeczną i umysłową, której nigdy się nie wyczerpie i nie zgłębi. Przed wojną Ksawery Pruszyński napisał, że Polską rządzi klasa urzędnicza. Dużo się zmieniło, świat wyszedł z orbit, przeżyliśmy wojny, przewroty i rewolucję, do władzy doszli Ładosz i Drobner, świat zmienił oblicze, a jednak — w tej dziedzinie nic się nie zmieniło: po dawnemu rządzi Wieczna Biurokracja. Niepoliczone zastępy umęczonych ludzi bez twarzy siedzą po tysiącznych biurach w całej Polsce i dla niezrozumiałych przyczyn torturują chińskimi ceremoniami ludność tego kraju. Zajęciu temu oddają się setki tysięcy zdrowych i normalnych (na razie) ludzi, miast siać i orać nad Odrą i Nysą. Sterty papieru rosną a rosną. Przy czym rzecz arcyciekawa: ani torturujący ani torturowani nie wiedzą absolutnie po co się to wszystko robi. O tym wiem tylko ja jeden: to są chińskie obrzędy i chińskie męki, nakazane przez naukę wielkiego chińskiego mędrca **Sia-No-Wmuz-Gu**, a wyłożone w jego wielotomowym dziele **Psu-Na-Bu-De**. Żyjemy przecież w Chinach!

Kisiel.

Jednakowo dobre OD ROKU 1910
BUDYNIE PRZYPRAWY do CIAST ZUPY-BULION
STRÓJWAS

MAGAZYN JUBILERSKI
KRAKÓW, GRODZKA 60. TEL. 559-03
POLECA: ŁAŃCUSZKI, MEDALIKI, RYNGRAFY oraz WYROBY ZŁOTE, OBRĄCZKI, SYGNETY, PIERŚCIENIE, NAKRYCIA SREBRNE, PAPIEROŚNICE itp.

ARTYSTYCZNA PRACOWNIA TKACKA
»SAMODZIAŁ«
Kraków — ul. Pędzichów 11, mieszk. 3
poleca i wykonuje na zamówienie MATERIAŁY CZYSTO WEŁNIANE NA KOSTIUMY, SUKIENKI, PŁASZCZE, UBRANIA i SZALE.
Oryginalne kraty szkockie

SOLEC—ZDRÓJ
wyleczy wyleczy
reumatyzm, artretyzm, ischias.
POBYTY RYCZAŁTOWE POBYTY RYCZAŁTOWE
Informacje: „ORBIS"

Nie może człowiek być dobrym i dobrze żyć — jeżeli nie zna Boga
polecamy Ks. ST. OLSZEWSKIEGO
BÓG JEST ŚWIATŁOŚCIĄ
CENA 150, zł + koszta przesyłki 15 zł przy opłacie z góry, 40,— zł za pobraniem pocztowym
WARSZAWA 12, skrzynka pocztowa 40,
TOW. PRZYJ. KATOL. UNIWERSYTETU LUBELSKIEGO.

DOBRYCH I ZDOLNYCH CHŁOPCÓW
pragnących poświęcić się stanowi duchownemu, w wieku ustawami szkolnymi przepisanym, do wszystkich klas gimnazjalnych (z językiem francuskim) i licealnych (z jęz. łacińskim) przyjmuje
MAŁE SEMINARIUM Ks. Ks. MISJONARZY W KRAKOWIE.
Po siedmiu klasach szkoły powszechnej przyjmuje się uczniów tylko z tych szkół, gdzie w roku szkolnym 1947/48 nie będzie klasy ósmej. Wszyscy wychowankowie Zakładu mieszkają w internacie, który mieści się w gmachu gimnazjalnym. Do podania należy załączyć znaczek na odpowiedź. Wcześniejsze zgłoszenia mają pierwszeństwo. Zgłoszenia osobiste są mile widziane. Zwiedzanie Zakładu jest dozwolone. Warunki przyjęcia przystępne.
Adres Gimnazjum: Dyrekcja Małego Seminarium Ks. Ks. Misjonarzy, KRAKÓW, Misjonarska 37, telefon 573-94.
Adres Liceum: Dyrekcja Seminarium Ks. Ks. Misjonarzy, KRAKÓW, ul. św. Filipa 19.

Prenumerata miesięczna 60 zł, kwartalna 170 zł. — Konto PKO: IV—198. — Ogłoszenia w cenie 40 zł za 1 mm wysokości, 1 szpalta szerokości, przyjmuje „PAR", Kraków, Rynek Główny 46. Wydawca: Kuria Xiążęco-Metropolitalna Krakowska. — Redaktor Jerzy Turowicz. — Adres Redakcji i Administracji: Wiślna 12, tel 576-40. Redakcja przyjmuje tylko od 11'30 do 13. Administracja od 8 do 13. — Drukarnia 1.pod zarz. państwowym, Kraków, Wielopole 1. M—19993